

**DLA FISKUSA
OD PRZYCHODÓW
KAPITAŁOWYCH**

Relacja z redakcyjnego dyżuru na temat **opodatkowania odsetek od lokat bankowych, obligacji i innych dochodów kapitałowych**. Na pytania czytelników odpowiadali eksperci z Ministerstwa Finansów.



RZECZPOSPOLITA

Zaprenumeruj „Rzeczpospolitą” i skorzystaj ze specjalnej oferty
Era Biznes

szczegóły wewnątrz numeru

www.rzeczpospolita.pl

Sobota – niedziela, 2 – 3 marca 2002 roku

NR 52 (6129) cena 2,20 zł (w tym 7% VAT)



A5 Dlaczego kościoły w Polsce nie są ładne

A6 Globalizacja atakowana jest zarówno przez lewicę, jak i prawicę – opinia Zdzisława Krasnodębskiego



D1 Ryszard Kapuściński: Propagowanie tezy o wojnie cywilizacji zaostrza atmosferę międzynarodową
PLUS – MINUS



KRAJ

Byli wiceprezydent Krakowa zatrzymani

W piątek zatrzymany został pod zarzutem korupcji były wiceprezydent Krakowa Stanisław Ż. **A3**

Rosjanie zaniepokojeni

Zaniepokojenie największymi od czterech lat manewrami NATO, które odbywają się w Polsce i Norwegii, wyraził naczelny dowódca rosyjskich sił powietrznych generał Władimir Michajłow. **A3**

ŚWIAT

Cmentarz Orłat. Otwarcie w maju?

Uroczyste otwarcie i poświęcenie Cmentarza Orłat Lwowskich nastąpi zapewne w drugiej połowie maja. **A4**

Zeman podsyca napięcia

Premier Mirosław Zeman skrytykował Budapeszt za ustawę o Węgrach żyjących za granicą, nazywając węgierskich polityków „politycznymi impotentami”. Szef dyplomacji czeskiej Jan Kavan uzyskał od komisarzy ds. poszerzenia UE Güntera Verheugena zapewnienia, że unieważnienie dekretów Benesa nie będzie warunkiem przyjęcia Czech do Unii Europejskiej. **A4**

PRAWO

Nowy sędzia Trybunału Stanu

Sejm powierzył Januszowi Niedzieli, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości, funkcję sędziego Trybunału Stanu. Jego kandydaturę zgłosił Klub Prawo i Sprawiedliwość. **C1**

Proces zootechnika z Kłewek

Przed olsztyńskim sądem rozpoczął się w piątek proces Bogdana G., zootechnika z Kłewek. W ostatnich miesiącach dał się poznać opinii publicznej jako informator Andrzeja Leppera w sprawie rzekomej korupcji polityków. **C2**

GOSPODARKA

TP SA: Zysk grupy spadł o 86 proc.

W 2001 r. skonsolidowany zysk netto Telekomunikacji Polskiej SA spadł o 86 proc., do 183 mln zł. Głównym tego powodem były wysokie rezerwy związane z restrukturyzacją spółki. Zyski firmy są gorsze, niż oczekiwali analitycy. **B3**

Ranking „Forbes” – Gates ciągle na czele

Światowy klub miliarderów stracił w ostatnim roku 41 członków na skutek globalnej recesji. Na pierwszym miejscu listy magazynu „Forbes” znajduje się niezmiennie założyciel Microsoftu – Bill Gates. Jego majątek ocenia się na 52,8 mld dolarów. **B2**

Zwyżka na Wall Street

Po publikacji dobrych danych makroekonomicznych indeksy giełdowe w USA poszły w górę. Główny indeks Dow Jones zwyżkował wczoraj o 2,6 proc. i osiągnął najwyższy poziom od pół roku, a Nasdaq poszedł w górę aż o 4,2 proc. **B8**

PONADTO

PROGRAM TV **A10**
RZECZ O KSIĄŻKACH **E1 – 6**



Redaktor prowadzący: Jan Skórzyński

Kurs NBP	Kantory średnio	Stopy proc.
USD 4,2331 zł ▲ 0,68%	4,2128 zł ▲ 0,54%	NBP 12 – 13,5
EUR 3,6740 zł ▲ 0,91%	3,6676 zł ▲ 0,77%	WIBOR(3M) 10,19
WIG 15 411,50 ▲ 0,87%	OBROTY 137,743 ▲ 8,8%	(rynek akcji, w mln zł)
WIG20 1 390,01 ▲ 1,62%		

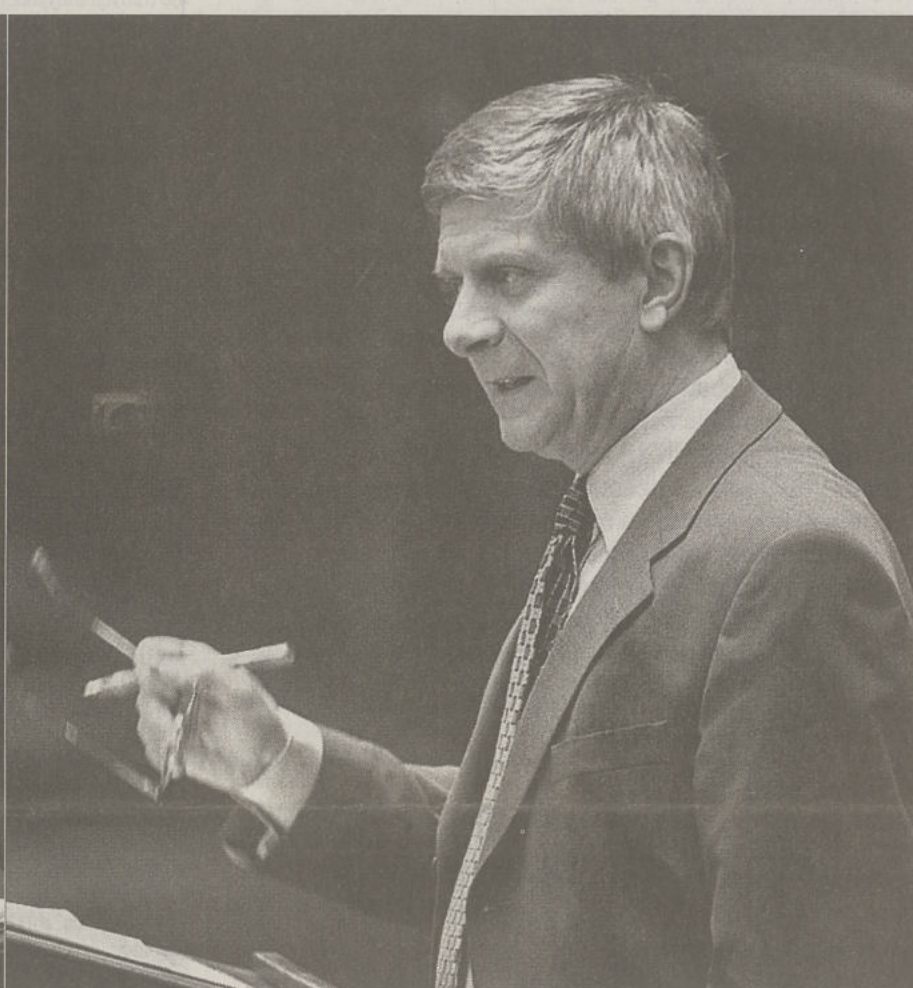
R W3 nakład 246 685 egz.; 35063 X

Jaka polityka pieniężna – sejmowa debata z prezesem NBP i ministrem finansów w rolach głównych

Balcerowicz kontra Belka



Leszek Balcerowicz: polityczne naciski nie będą miały wpływu na decyzje dotyczące polityki pieniężnej



Marek Belka: istnieje pole do obniżki stóp procentowych

Przez wiele godzin posłowie debatowali w piątek na temat uchwały wzywającej Radę Polityki Pieniężnej do obniżenia stóp procentowych. Po wystąpieniach prezesa NBP Leszka Balcerowicza i ministra finansów Marka Belki nastąpiła seria pytań. Ostatecznie uchwała została odesłana do komisji.

Leszek Balcerowicz podkreślił w swoim wystąpieniu, że polityczne naciski nie będą miały wpływu na decyzje dotyczące polityki pieniężnej. Dodał, że sposób traktowania banku centralnego przez większość rządową jest postrzegany jako jedna z miar stabilności kraju, co przekłada się m.in. na możliwość przyciągania zagranicznych inwestorów.

W opinii Balcerowicza polityczne naciski podsycają napływ kapitału spekulacyjnego i zwiększają podatność złotego na wahania kursowe. W piątek kurs złotego początkowo spadł, potem ustabilizował się. Ostatecznie

polska waluta zakończyła dzień z notowaniem 4,2 zł za dolara.

Zdaniem ministra finansów Marka Belki istnieje pole do obniżki stóp procentowych. Według niego gospodarka jest obecnie pogrążona w stagnacji, utrzymuje się głęboka nierównowaga gospodarcza i malejący popyt, czego wyrazem jest szybko rosnące bezrobocie i spadająca inflacja. Zaś restrykcyjna polityka gospodarcza hamuje eksport, staje się wewnętrznie sprzeczna i kontroproduktywna.

Część debaty poświęcona zadawaniu pytań przekształciła się w serię niewybrednych

ataków na prezesa NBP. Celowali w tym posłowie Samoobrony, SLD, PSL i LPR. Większość z nich tak formułowała pytania, by obrazić Leszka Balcerowicza.

Marszałek Marek Borowski musiał interweniować. Upominał posłów, że mówią nie na temat lub że przekraczają wyznaczony czas.

Uchwała w sprawie RPP została skierowana do Komisji Finansów Publicznych.

W.G., F.F.

SZERZEJ **B1**
KOMENTARZ **A2**

Puchar Świata Adam Małysz drugi w Lahti • Wygrał Martin Schmitt

Powrót mistrzów



Adam Małysz zajął drugie miejsce w konkursie o Puchar Świata w Lahti. Wygrał po raz pierwszy w tym sezonie Martin Schmitt, trzeci był Robert Kranjec. Dwukrotny złoty medalista olimpijski Simon Ammann zajął szóste miejsce.

Po pierwszej kolejce prowadził Schmitt, który skoczył 125,5 metra. Drugie miejsce za skoki na odległość 124,5 metra wspólnie zajmowali Małysz i Janne Ahonen. W drugiej

serii Małysz miał 124 metry, a Schmitt 125. Nota Niemca była wyższa o 3,1 punktu. Do końca Pucharu Świata zostały cztery konkursy. Przewaga Małysza nad nieobecny w Lahti Svenem Hannawaldem wzrosła do 231 punktów. Za zwycięstwo w każdym konkursie skoczek otrzymuje 100 punktów, za drugie miejsce – 80.

K.G.

SZERZEJ **A8**

Negocjacje z UE Kompromis w sprawie sprzedaży ziemi

Przeciwników brak

Żaden kraj Unii Europejskiej nie sprzeciwia się zasadom sprzedaży ziemi rolnej w Polsce farmerom z UE. W piątek rząd przyjął ostateczną wersję swojego stanowiska w tej sprawie.

Rząd ogłosił swoje stanowisko w ostatniej kwestii: prawa do wcześniejszego zakupu polskiej ziemi dla farmerów, którzy ją dzierżawią i uprawiają (tzw. samozatrudnienie). Zdecydowano, że wszyscy rolnicy indywidualni z krajów UE zyskają prawo do policzenia sobie dzierżaw sprzed członkostwa Polski w UE, tak

by móc szybciej od innych obywateli UE kupować ziemię w naszym kraju. Przypomnijmy – niezbędny okres dzierżawy to 3 lub 7 lat w zależności od regionu. Oznacza to, że już 1 stycznia 2004 roku mogą się znaleźć cudzoziemcy z UE, którzy zyskają prawo do zakupu polskiej ziemi na własność.

Warunek – musi to być dzierżawa farmera, a nie spółki prawa handlowego. Spółki nie zyskają przywileju szybszego zakupu gruntów.

Tyle tylko, że dotychczas nawet rolnicy indywidualni z krajów Unii

zakładali firmy, żeby kupić polską ziemię. Co z tym począć? – Będą musieli dokonać przekształcenia dzierżawy ze spółki na osobę fizyczną – tłumaczy rzecznik rządu Michał Tober. Nie potrafił jednak sprecyzować, ile mają na to czasu. Po przekształceniu unijnym farmerom zostanie zaliczona dzierżawa od podpisania pierwszej umowy, a więc też, kiedy reprezentowali jeszcze spółkę.

Jędrzej Bielecki z Brukseli
Andrzej Stankiewicz

DOKOŃCZENIE **A3**

Metropolita lubelski Józef Życiński o sprawie arcybiskupa Paetza

Decyzja przed Wielkanocą

Metropolita lubelski abp Józef Życiński wyraził w piątek przekonanie, że sprawa poznańskiego abp. Juliusza Paetza zostanie rozwiązana do Wielkanocy.

– Tę sprawę prowadzą odpowiednie instancje apostolskie. Należy ufać Ojcu Świętemu, że zostanie wyjaśniona w ciągu najbliższych miesięcy. Osobiście, nie na podstawie empirycznych informacji, ale teologicznej nadziei, wierzę, że święta Wielkanocą będą

dziemy już przeżywać w poczuciu Chrystusowej radości – powiedział w piątek na konferencji prasowej abp Józef Życiński.

Podkreślił, że zdecydowana większość polskich mediów zachowała się w sprawie poznańskiego biskupa odpowiedzialnie, a przeciwstawianie katolików dziennikarzom nazwał „niedopuszczalnym”.

Arcybiskup Życiński przeciwstawił się „konceptom ukrywania prawdy i rozwiązywania trudnych

spraw w skrytości”, uznając takie zachowania za przejaw dulszczyzny.

Gdybyśmy budowali etykę podporządkowaną zasadzie, „żeby się tylko media nie dowiedziały”, to doszlibyśmy do jakiejś wersji moralności pani Dulskiej, a lęk przed mediami paraliżowałby wszelkie działania – powiedział abp Życiński.

D.P., PAP

STOLICA APOSTOLSKA
A SPRAWA ARCYBISKUPA
POZNAŃSKIEGO **A3**

Prawie 300 ofiar zamieszek

Wojna religijna w Indiach

W wyniku starć pomiędzy hinduistami i muzułmanami w Indiach zginęły setki osób. Do najbardziej krwawych incydentów doszło w stanie Gudżarat.

Zaczęło się w środę od ataku tłumy muzułmanów na pociąg wiozący hinduistów z Ajodhji, gdzie ekstremiści zamierzają zbudować świątynię Ramy w miejscu, w którym wznosił się meczet, zrównany przez nich z ziemią w roku 1992. W podpalonym pociągu zginęło 58 osób, głównie kobiety i dzieci.

W odwecie wyznawcy hinduizmu zorganizowali pogromy muzułmanów. Terenem zająć była przede wszystkim stolica stanu Gudżarat, Ahmadabad. Napadano na meczety, muzułmańskie sklepy i biura. W mieście zginęło około 140 osób, w całym stanie około 190. Rany na ciałach zabitych dowodziły, że oprócz kamieni i pałek użyto też broni palnej i noży.

W piątek po południu trzydziestu muzułmanów zostało spalonych żywcem we własnych domach w miejscowości Pandarwal, na którą napadło około trzech tysięcy hinduskich ekstremistów.

Nie wiadomo, czy zgoda radykalnego ugrupowania Wiswa Hindu Parisad na przełożenie rozpoczęcia budowy świątyni w Ajodhji położy kres masakrom i zamieszkom.

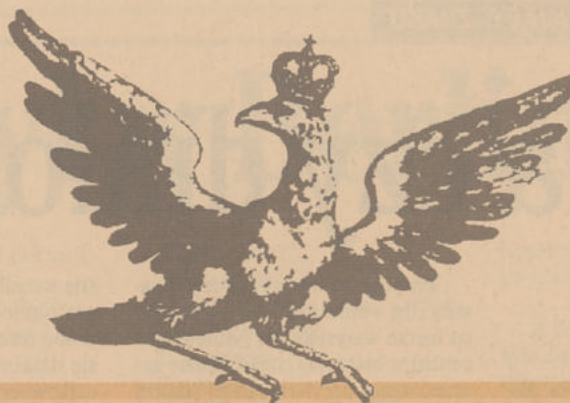
D.Z.

SZERZEJ **A4**
GOŚĆ „RZ” **A2**

Stracone złudzenia

Hierarchie wartości stają się coraz bardziej sprawą prywatną jednostki, zaś o ich społecznym znaczeniu decyduje rynek, tym okrutniej, im większy i bardziej swobodny. Tym samym człowiek kultury staje się dostarczycielem towaru niewiele różniącego się od wszystkich innych: jego społeczna rola nie przestaje się zmniejszać. Zjawisko dobrze znane „europejskim” intelektualistom, którzy od lat nie przestają wyklinać kultury masowej, zhomogenizowanej i zamerykanizowanej... chyba że starają się – straciwszy złudzenia – do niej dostosować. Problem ten zaczyna już docierać do ich wschodnioeuropejskich kolegów. Mogą się oni poczuć „zdradzeni”. Istotnie, poświęcali nieraz swoje kariery, dzieła, czasem nawet życie... tej samej wolności, która odsyła ich na rynek razem ze sprzedawcami telewizyjnych seriali i otepiałych szlagierów. Tak, czują się zdradzeni, a zarazem społecznie zdegradowani do roli dostarczycieli rozrywki.

Jan Błoński w eseju „Gombrowicz i Miłosz o Europie” w „Kwartalniku Artystycznym” nr 4/2001



+ PLUS – MINUS

Nowa szkoła polska

D4 Krzysztof Kłopotowski

Vincent Van Gogh i Paul Gauguin

D4 Kazimierz Sobolewski

Carmen w Wilnie

D5 Marta Jarząbek

UNIwersytet latający „ZNAKU”

Propagowanie dziś tezy o wojnie cywilizacji jest groźne, ponieważ zaostża atmosferę międzynarodową

Wojna czy dialog?

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

W dyskusji, która rozpoczęła się po 11 września w prasie zachodniej, zwłaszcza amerykańskiej, rysują się wyraźnie dwa stanowiska. Jedni uważają, że skutki zamachu można usunąć metodami policyjno-militarnymi, które nazywają ogólnie wojną z terroryzmem. Inni usiłują zbadać kontekst polityczno-kulturalny tego wydarzenia, dostrzegając w nim znak dużo większych zjawisk. Wszystko to dzieje się zaś w bardzo trudnym do odczytania i zdefiniowania współczesnym świecie – w świecie, w którym wszyscy czujemy się zagubieni.

Strategie myślenia

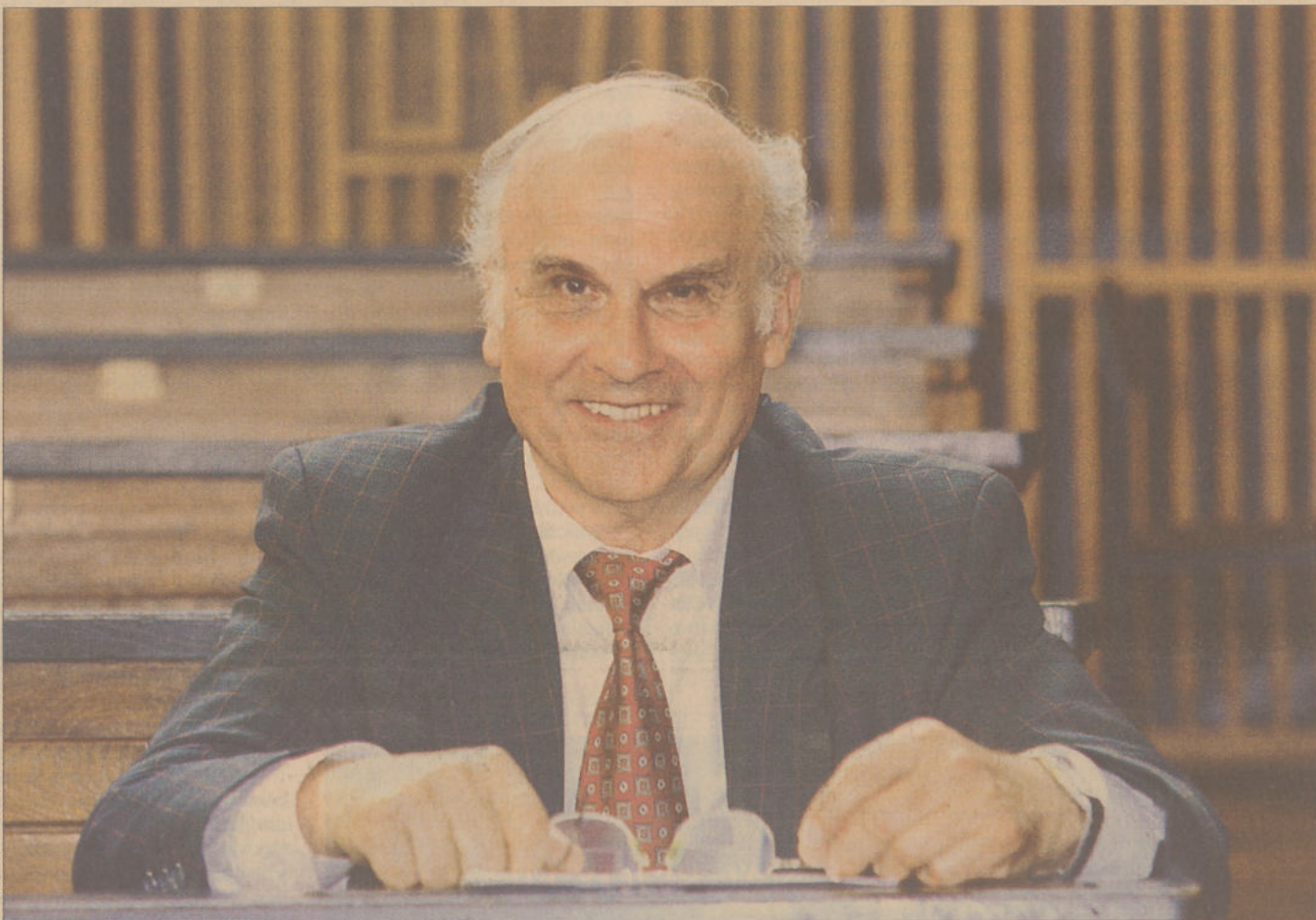
Grupa zwolenników rozwiązania policyjno-militarnych wcale nie jest jednolita. Różnice dotyczą dwóch spraw. Pierwszą określa dylemat: demokracja czy bezpieczeństwo. Aby walczyć z terroryzmem wewnątrz kraju, trzeba przeciw zastrzyć środki kontroli, inwigilacji i przymusu.

Czy wolimy żyć w demokracji i wolności, czy też rezygnujemy z wielu praw, byle tylko czuć się bezpieczniej? Jeden z amerykańskich polityków powiedział ostatnio ze smutkiem, że dożyliśmy czasów, w których demokracja przestała bronić swoich obywateli. Szef amerykańskich służb medycznych dodał, że zagrożony jest sam proces globalizacji. Jego istotą jest bowiem fakt, że we współczesnej gospodarce części jednego produktu powstają w różnych krajach, a montowane są jeszcze gdzie indziej. Teraz trzeba by wprowadzić w ten system ścisłą kontrolę, a to bardzo spowolniłoby produkcję. Czy w tej sytuacji nadal będziemy w stanie produkować szybko, czy też, zwiększając kontrolę, spowolnimy globalizację?

Dla Ameryki to sprawa szczególnie dotkliwa, bo nawet kontrole graniczne były tu dotąd bardzo słabe. Granica między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą wynosi 6 tysięcy kilometrów, a strzeże jej tylko trzysta osób. Druga ważna różnica dotyczy strategii walki z terroryzmem na arenie międzynarodowej. Czy ustalać cele i zadania tej wojny jednostronnie w Waszyngtonie, nie oglądając się na innych, bo to mogłoby spowolnić działania, czy też dążyć raczej do budowy międzynarodowej koalicji, która nadałaby wojnie z terroryzmem kształt zbiorowej, cywilizacyjnej odpowiedzi w obronie wartości?

Ci, którzy w analizie tego, co się wydarzyło, chcą iść głębiej, również dzielą się między sobą. Niektórzy uważają, że 11 września to powód, aby przemyśleć kształt współczesnego świata, zastanowić się nad tym, co jest w nim złe i próbować temu zaradzić. Ta grupa ma z kolei dwie szkoły. Pierwsza uważa, że mamy do czynienia z Huntingtonowską wojną cywilizacji i że trzeba umacniać cywilizację (tu każdy mówi o swojej), jeżeli nie chcemy dopuścić do jej porażki i unicestwienia. Druga szkoła przeczy tej tezie, twierdząc raczej, że w strukturze i funkcjonowaniu współczesnego świata występują anomalie, które sprzyjają działaniom sił niszczycielskich. Jej przedstawiciele posługują się starą tezą Lamarkca, głoszącą, że wszelki byt istnieje tylko w otoczeniu i że między bytem a otoczeniem zachodzi nieustanna interakcja, tak więc bez znajomości kontekstu nie jesteśmy w stanie zrozumieć istoty zjawiska.

Ostatnio trudno jednak usłyszeć takie głosy. Przeważają ci, którzy uznają 11 września za incydent, którego skutki możemy usunąć szybko, zdecydowanym zabiegami chirurgicznym. Według nich żyjemy na



Autor „Europy” na siedemdziesięciolecie autora „Imperium”

Pierwszą prawdą o Polsce, którą usłyszałem podczas swojej tu wizyty z grupą studencką na początku lat 60., było to, że ten kraj jest jak rzodkiewka. Słowo było za trudne dla naszych niedoświadczonych języków. Pojęcie jednak było zrozumiałe i na każdym kroku sprawdzane. Zaimponowało nam, że ta metafora wyszła z ust nie jakiegoś dysydenta, ale naszej oficjalnej przewodniczki z Orbisu.

Jakoś nie pomyślałem o tej rzodkiewce, kiedy zetknąłem się po raz pierwszy z nazwiskiem Ryszarda Kapuścińskiego, autora nieznanej mi jeszcze wtedy książki o upadku cesarza Hajle Sellasje w Etiopii. Ten afrykański władca cieszył się u nas dobrą opinią ze względu na jego godne zachowanie podczas wojny – kiedy był kolegą na uchodźstwie w Londynie generała Sikorskiego. A dawna Abisynia była mi znana wyłącznie z różnych dziecięcych książek przygodowych, takich jak na przykład „Kopalnie króla Salomona” Haggarda. Wiedziałem, do

czego była zdolna „Trybuna Ludu” w dziedzinach, które znałem z bliska. Toteż nie wyobrażałem sobie, by korespondent takiej wybitnej gazety mógł ciekawie pisać o dalekich krajach. Bez dalszych badań przypuszczałem, że ten pisarz próbuje sprawić kłopoty polityce Zachodu w Afryce. Trochę więcej uwagi zwróciłem na następną książkę Kapuścińskiego – o upadku szachinszacha. O Persji wiedziałem jeszcze mniej niż o Abisynii. Ale polityka amerykańska na Bliskim Wschodzie już wtedy wyglądała na błędną i mniej mi przeszkadzały polityczne podteksty analizy Kapuścińskiego. Widocznie posiadał on nie tylko talent wnikliwego obserwatora, ale również szeroką perspektywę światową.

Dopiero po przeczytaniu „Imperium” wyraźnie zobaczyłem człowieczeństwo autora i zbrodnię doskonałą, którą genialnie popełnił jako korespondent „Trybuny Ludu”. Zawsze powtarzałem swoim studentom, że historia Polski daje

m.in. dobry punkt wyjścia do poznania natury Rosji – ku zgorzseniu moich kolegów, ekspertów rosyjskich i sowietologów. Ale zanim nie przeczytałem rozdziału, w którym pan Ryszard opisuje swoje przeżycia szkolne w Pińsku w 1939 roku, kiedy jako siedmioletni uczeń patrzył z przerażeniem na stopniowo pustoszącą klasę i na niewyjaśnione zniknięcie swojego nauczyciela, ja sam nie rozumiałem motywów dorosłego Kapuścińskiego, nie mogłem znaleźć do niego klucza.

Teraz wszyscy wiemy, jaką nieporównywalną z niczym robotę zrobił ten chłopak z Pińska, patrząc na świat w całości i pięknie szeregując ZSRR w kategorii chorych i skazanych imperiów. Przez parę wieków niewoli Polacy różnie znosili swój bolesny los. Niektórzy walczyli otwarcie – zbrojnie i męźnie, ale niekiedy niemądrze i zaściankowo. Inni walczyli po cichu, inteligentnie i z humorem. Kapuściński był wśród nich.

Norman Davies

najlepszym ze światów – nie nie musimy w nim zmieniać, broniąc ze wszystkich sił tego, co jest.

Duchowe narodziny

Ale przypatrzmy się temu „najlepszeemu ze światów”. Zaczniemy od tego, że w drugiej połowie XX wieku dokonały się w nim ogromne zmiany. Ruch dążący do wolności stał się zjawiskiem globalnym. Zmieniło to mapę świata, która jeszcze na początku wieku była dwukolorowa. Jednym kolorem można było zaznaczyć niewielką grupę państw posiadających kolonie, drugim – wielkie obszary planety zamieszkane przez ludy zależne. Dzisiaj mapa świata jest jednokolorowa. Kolonie znikły i (przynajmniej formalnie) cała rodzina ludzka składa się z wolnych obywateli. Procesowi uniezależniania się towarzyszył wzmożony ruch ludno-

ści ze wsi do miast. W wyobrażeniach ludzi niepodległość oznaczała dobrobyt, a jego synonimem było miasto. Na początku wieku chłopci stanowili 90 proc. ludności świata. Dziś jest ich już mniej niż połowa. Życie w mieście stało się podstawową formą bytowania człowieka. Trzecim zjawiskiem determinującym współczesność stał się bezprecedensowy przyrost ludności świata. W 1950 roku było nas dwa i pół miliarda, obecnie – ponad sześć miliardów. Każdego roku przybywa nas 80 milionów, z czego niemal 90 proc. to nowi obywatele Trzeciego Świata. Te trzy procesy zmieniły polityczny i kulturalny obraz świata, który zmienił się z poddaniem, teraz, choć nadal przyjmowany gościnnie, czuje, że gospodarze widzą we mnie równego sobie, tymczasowego gościa w domu prawomocnie zamieszkanym na stałe przez nich.

Zrozumiano wyłącznie wątek państwowo-ekonomiczny: oto podległe ludy chcą mieć swoją flagę i swoją walutę. Zupełnie pominięto całą sferę duchową tego procesu, a przecież było to niezwykle budowanie tożsamości narodu i krzepnięcie poczucia dumy z wartości własnej cywilizacji. Na duchowy awans, na nowe ambicje dawnych kolonii świat zachodni był zupełnie nieprzygotowany. To właśnie o tym zjawisku, o narodzinach duchowych Trzeciego Świata, starałem się pisać. Podróżując od wielu lat, zauważyłem bowiem pewną istotną zmianę: tam, gdzie jako Europejczyk byłem kiedyś traktowany z rewerencją, a może nawet poddaniem, teraz, choć nadal przyjmowany gościnnie, czuję, że gospodarze widzą we mnie równego sobie, tymczasowego gościa w domu prawomocnie zamieszkanym na stałe przez nich.

Tak dochodzimy do dramatu charakteryzującego współczesny proces dziejowy. Przez 500 lat Europa niepodzielnie rządziła światem. „Europejskość” stanowiła kryterium wartościujące: jeśli coś przypominało Europę, uznawane było za cywilizację, jeśli nie – wystarczał przymiotnik „barbarzyński”. Wszystkie cywilizacje nieeuropejskie uważano za niższe, wadliwe. Całe piśmiennictwo, cała myśl europejska oparte były i są na tym przekonaniu. Lecz oto w szalenie krótkim czasie, obejmującym jedno, dwa pokolenia, na scenie świata pojawiły się miliardy przedstawicieli innych, nieeuropejskich cywilizacji, które domagają się dla siebie równych praw, poszanowania i respektu. Wszyscy chcą zasiąść przy okrągłym stole świata jako równi partnerzy, aby wspólnie negocjować przyszłość naszej planety.

Dokończenie ➤ D2

REKLAMA

0160295

Kupon konkursowy

Do nagrody Wiktora Publiczności 2001 wybieram:

(Imię i nazwisko kandydata)

(Imię i nazwisko Czytelnika)

(Dokładny adres)

wysłać pod adresem: ŻUKOWSKI & PARTNERZY
Kancelaria Prawna, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa



Sponsorem WIKTORÓW 2001 jest
PZU SA



www.rzeczpospolita.pl/plus_minus

ZA TYDZIEŃ

■ Ostatnio z ust znajomego licealisty usłyszałem: „Panu Bogu dokładnie wisi, czy Polska jest czy jej nie ma. Pan Bóg, jeśli w ogóle czymkolwiek z naszych ziemskich spraw się interesuje, to tylko losem poszczególnych dusz ludzkich. Narody ma gdzieś. Nic go nie obchodzi” – Stefan Chwin „Pisarz i pokusy teologii”

■ Obawiam się, że pokolenie Polaków uczone w szkołach bez rosyjskiego, będzie – i owszem – chadzać po angielsku ścieżkami Internetu, ale swego języka w gębie zapomni – Mariusz Wilk „Dziennik północny”

ROZMOWA

Prof. Włodzimierz Bolecki, literaturoznawca

Zrozumieć Mackiewicza

KRZYSZTOF MASŁO ✎: Gdyby znalazł się w Polsce ktoś odważny, ogłosiłby 2002 rok Rokiem Józefa Mackiewicza – 1 kwietnia minie bowiem 100. rocznica urodzin autora „Drogi donikąd”. Ale, nie czekając na rocznicową okazję, w końcu ubiegłego roku (1 – 2 grudnia) „Gazeta Wyborcza” opublikowała o Mackiewiczu artykuł Artura Domosławskiego „Narodowość – antykomunista”. Zamierzony był to falstart?

WŁODZIMIERZ BOLECKI: Tego nie wiem. Ukazał się po prostu 14 tom „Dzieł zebranych” Józefa Mackiewicza pt. „Bulbin z jednosiela” i „Gazeta Wyborcza” postanowiła odnotować to w formie małej informacji. Ponieważ przez ostatnie 10 lat żaden z poprzednich tomów dzieł Mackiewicza nie był w „Gazecie” omawiany – podobnie jak i w innych pismach – więc można by tę notkę uznać, jak dawniej mawiano, za „kolosalny” postęp, przynajmniej w stosunku do czasów, gdy na temat pisarza obowiązywało w „Gazecie” nieśmiertelne zdanie Adama Michnika, że Mackiewicz to „zoologiczny antykomunista”. Ale obok tej notki „Gazeta” zamieściła ogromny artykuł pana Domosławskiego, którego cele rozumiem następująco. Chodziło mu o zdeprecjonowanie nazwiska Józefa Mackiewicza jako patrona nowej nagrody literackiej. Następnie – o zdeprecjonowanie jury tej nagrody. I po trzecie, o przedstawienie czytelnikom „Gazety” portretu Mackiewicza jako kolaboranta III Rzeszy – tak jak robiono to przez ostatnie 50 lat. W tym celu Domosławski sięgnął po moją książkę pt. „Ptasznik z Wilna” (Kraków 1991) i obficie posłużył się zawartymi w niej faktami, dokumentami, cytatami, wywodami, argumentami etc.

Wymieniając pana nazwisko jako „apologetę” Józefa Mackiewicza.

Nie jestem apologetą nawet samego siebie. Moja książka jest próbą zrozumienia jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy XX wieku, a rozumienie postaw i twórczości pisarzy jest moją powinnością zawodową. Natomiast pan Domosławski był co najmniej dwukrotnie nieuczciwy, co w moich oczach – raz na zawsze przekreśla jego wiarygodność jako dziennikarza. Po pierwsze nie podał nigdzie informacji, że całą „dowodową” treść swego artykułu (a nawet dwóch, bo także polemiki z Kazimierzem Orłosem) oparł na mojej książce, że posługuje się nie tylko zawartymi w niej dokumentami, ale że nawet parafrazuje lub przytacza bez podania źródła moje stwierdzenia, wnioski czy argumenty.

Gazetowa lustracja

A druga nieuczciwość?

Gdy ja dowodzę, że oskarżenia przeciw pisarzowi nie były oparte na faktach i że tzw. sprawa Mackiewicza była przez blisko pół wieku po prostu organizowana – z powodów zemsty osobistej i politycznej – to Domosławski cytując te oskarżenia jako dowody. Ja uzasadniam, że pisanie dziś o Mackiewiczu jako „kolaborancie” nie ma sensu bez równoczesnego porównania zakresu i treści rzeczywistej kolaboracji polskich pisarzy z okupantem sowieckim. Natomiast Domosławski konstruuje po raz kolejny portret Mackiewicza jako jednego pisarza, który współpracował z prasą okupanta. Najważniejsze jest jednak co innego. Napisałem „Ptasznika z Wilna”, żeby można było w końcu zajmować się nie zwykłą twórczością autora „Drogi donikąd”, a nie bez przerwy roztrząsać zarzuty, które mu stawiano. Tymczasem Domosławski powtarza z uporem taki schemat pisania o Mackiewiczu, w którym twórczość zbywa się kilkoma zdaniem, a oszczerstwom nie szczędzi się miejsca. To właśnie nazywam lustracją pisarza.

Ale przecież Mackiewicz publikował w niemieckim „Gońcu Codziennym”.

Przez trzy miesiące, od końca lipca do początku października 1941 r., Mackiewicz opisywał tam los ludności Wileńszczyzny pod okupacją sowiecką. Jak długo można go oskarżać za te publikacje ignorując równocześnie jego wspaniałą twórczość? Czy druga wojna światowa jeszcze się nie skończyła? Wyobraźmy sobie sytuację, że oto ukazują się „Pisma zebrane” innego pisarza, np. Juliana Tryjowskiego, Aleksandra Wata, Adama Ważyka, Stanisława Jerzego Leca, Mieczysława Jastruna i „Gazeta” zamiast przedstawić ich twórczość, zamieszcza wielkie artykuły o ich kolaboracji z „Czerwonym Sztandarem”, z „Nowymi Widnokreślami”, „Prawdą Wileńską” i tak dalej. Czy to jest w ogóle możliwe? Do lustracji Mackiewicza przystępowano zawsze, gdy chciano mu zamknąć usta. Wrogiem Mackiewicza na emigracji chodziło o pozbawienie go wiarygodności jako cenionego pisarza emigracyjnego, publicysty, który konsekwentnie głosił, że Polska w 1945 utraciła, a nie odzyskała niepodległość, oraz antykomunistę, którego postawa nie pasowała do żadnych doraznych, politycznych etykietek. A z kolei komunistom w Polsce chodziło o zemstę na pisarzu, który był (obok Ferdynanda Goetla) jednym z najważniejszych polskich świadków odkrywania grobów w Katyniu i którego relacja publikowana już w czerwcu 1943 r. nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że zbrodni katyńskiej dokonało NKWD. Zresztą wyjazd Mackiewicza na ekshumację grobów w Katyniu w 1943 r. to, moim zdaniem, klucz do wyroku śmierci wydanego na pisarza.

A zarzut Domosławskiego, że wypuszczenie Mackiewicza przez NKWD „budziło wątpliwości”?

Domosławski kondensuje w nim wszystkie najbardziej absurdalne oskarżenia o „zdradę” przeciw Mackiewiczowi, znane od lat trzydziestych, czyli że kolaborował z „białą” Rosją, z Republiką Litewską, z III Rzeszą, następnie – że w „dziwnych okolicznościach” wy-



UNIwersytet latający „ZNAKU”

Zrozumieć Mackiewicza

[2] puściło go NKWD, że współdziałał z SB itd. Autor artykułu w „GW” swój „wywód” wspiera książką Jana Nowaka „Polska z oddali” z roku 1988. Otóż Nowak – który od lat 50. Mackiewiczowi odmawiał prawa do wypowiadania się w sprawach polskich – wzorem swoich poprzedników (m.in. Korbońskiego i Salacińskiego) stworzył w swej książce za pomocą insynuacji portret człowieka, który był nieustannym zdrajcą. Ilustrator Domosławski traktuje ten fragment książki Jana Nowaka jako źródło historyczne. Tymczasem Jan Nowak, który wojnę spędził w Warszawie, o wileńskiej części życiorysu Mackiewicza nie nie wiedział. Siegnął, po prostu, po oświadczenia byłych żołnierzy Armii Krajowej, które w 1948 r. były zbierane na emigracji po to, żeby oskarżyć Mackiewicza o kolaborację. Pojawiła się plotka, że pisarz był przesłuchiwany przez NKWD. Ale skąd ci ludzie o tym wiedzieli? Przecież NKWD nie informowało publicznie, że ktoś był przesłuchiwany!



PROF. WŁODZIMIERZ BOLECKI

Od samego Mackiewicza.

Otóż to. Ktoś po prostu zapamiętał, że pisarz zamieścił w „Gońcu Codziennym” „wspomnienie”, w którym informował o swoim przesłuchaniu w NKWD, po którym go wypuszczono. I ta informacja została zamieszczona w dwóch czy trzech oświadczeniach w 1948 r. Tymczasem opublikowane w 1941 r. w „Gońcu Codziennym”, „wspomnienie” było fragmentem powieści, który każdy może przeczytać dziś w „Drodze donikąd”. Tak więc nawet nie wiadomo, czy Józef Mackiewicz w ogóle był przesłuchiwany przez NKWD!

Mogła to być fikcja literacka?

Oczywiście, „Moja dyskusja z NKWD” mogła być opisem czegoś, co przytrafiło się któremuś z jego przyjaciół, mogła być to kompilacja rozmaitych biografii lub po prostu fikcja. Rozumieniem tych żołnierzy AK, którzy w 1948 r. musieli ufać tylko swojej pamięci. Ale żeby w 2001 r. napisać – jak robi to Domosławski – że choć nie ma żadnych dowodów przeciw Mackiewiczowi, to jednak każdy może się zastanawiać „czy było coś jeszcze”? Chciałbym więc wiedzieć, czy ten pan powtórzyłby w „Gazecie Wyborczej” domysły „czy było coś jeszcze”, gdyby chodziło o kogoś innego niż Józef Mackiewicz? Czy napisałby, że „skazani jesteśmy na spekulację i hipotezę”, powołując się na insynuację ludzi, którzy twierdzą, że na przykład każdy, kto zajmował w latach 50. kierownicze stanowisko w Radiu Wolna Europa, musiał być etatowym funkcjonariuszem CIA, albo że każdy, kto pracował w latach 40. w Komisarzynie Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości w Warszawie, musiał wcześniej podpisać volkliste? Czy poczucie przyzwyczajenia pozwoliłoby mu w ogóle wziąć pod uwagę te czy inne pomówienia (Nowak wymienia je w „Polsce z oddali”)? Jest jeszcze jedna kwestia, a mianowicie z rozumowania Domosławskiego wynika, że któkolwiek wyszedł cało z przesłuchania w NKWD, ten jest podejrzany...

...ponieważ „nie pojechał na białe niedźwiedzie”.

Niech więc ilustrator Mackiewicza zaproponuje stosowanie tej reguły wobec wszystkich, którzy po przesłuchaniach zostali jednak wypuszczeni przez NKWD, KGB, gestapo, Urząd Bezpieczeństwa, Służbę Bezpieczeństwa...

Żyj i daj żyć innym

Co w postawie Józefa Mackiewicza i w jego twórczości tak drażni, że jeszcze po latach wywołuje emocje i przysparza mu przeciwników?

Nieznanostwo jego twórczości. Niszczyli go przez dziesięciolecia politycy, natomiast czytelnicy (w tym wybitni pisarze) albo cenili jego utwory, albo nie. To oczywiście rzecz gustu. Jednak każdy, kto rozumie literaturę, wie, że ma do czynienia z pisarzem wybitnym, niezwykłym, który mówił Polakom rzeczy, o jakich gdzie indziej nie mogli przeczytać.

To znaczy?

Mackiewicz nieustannie narusza różne społeczne i polityczne tabu, a jego myśli dotykają bardzo gorących problemów XX wieku. Mackiewicz mógł drażnić swymi poglądami, ale przeciwieśnikowi nie odbierał prawa do polemiki, nikogo nie cenzurował. W jednym z artykułów sformułował wprost zasadę, której był wierny przez całe życie: „leben und leben lassen”. W tym „żyj i daj żyć innym” przejawiał się jego liberalizm, a w przywiązaniu Mackiewicza do niezależności i suwerenności myśli było wręcz coś z postawy religijnej. Mówiąc mniej patetycznie: dla Mackiewicza miarą wolności było prawo jednostki do wypowiadania sądów, choćby były to sądy, z którymi nikt się nie zgadza. A stopień wolności społeczeństw mierzył właśnie prawem do niezależnego głoszenia myśli. Warto pamiętać, że to prawo, które dla Mackiewicza było największą wartością życia publicznego i warunkiem wolności, jest fundamentem konstytucji najbardziej liberalnego państwa świata, czyli Stanów Zjednoczonych. A refleksję Mackiewicza nad XX wiekiem uważam za jedną z najnowocześniejszych w literaturze polskiej ubiegłego stulecia.

Jak pan rozumie tę nowoczesność?

Mackiewicz pisał na przykład, że ideologia bolszewików miała charakter totalitarny, czego nie można wyjaśnić w kategoriach ciągłości pomiędzy myślą rosyjską a sowietyzmem; że komunizm nie jest internacjonalizmem, lecz że podsyca i posługuje się nacjonalizmami; że nacjonalizm zniszczył tożsamość historyczną i kulturalną narodów w Europie Wschodniej; że bolszewizm i nacjonalizm jako formy polityki prowadzą do rasizmu politycznego; że ludzie poddani ciśnieniu polityki utożsamiają się z myśleniem kolektywnym (Fromm nazwał to „ucieczką od wolności”); że w polskiej mentalność narodowej, opartej na micie ofiary, brak wrażliwości dla cierpień innych narodów; że Polacy w systemie komunistycznym stawiali nie tylko heroiczny opór, lecz uczestniczyli także w kłamstwie, konformizmie, oportunistycznie, w terrorze, a niekiedy w zbrodni. Kluczem do koncepcji Mackiewicza jest to, że jego liberalne, antykollektywistyczne myślenie zrodziło się już w latach 20. i 30. – gdy opisywał np. zachowania administracji polskiej wobec mniejszości narodowych, rozwój nacjonalizmu w Europie czy w Turcji, czy wydarzenia w ZSRR – a nie w wyniku doświadczeń II wojny światowej. Mackiewicz był świadkiem tworzenia się mentalności, która suwerenną myśl – jak napisał jego brat – zamykała „w obcęgach”. Już w latach 20. Mackiewicz obserwował formowanie się „zniewolonych umysłów”, by użyć znakomitej formuły Miłosza. Nowoczesność Mackiewicza polega na postawieniu problemów, których znaczenie zostanie docenione wiele lat później.

Czyż Mackiewicz nie pisał jednak w sposób tradycyjny?



Wojna czy dialog?

Dokończenie ✂ D1

Wieleść barier

Jest to moment trudnej próby dla Zachodu. Okazało się, że nie jesteśmy sami, więcej – że zostaliśmy cywilizacyjnie pozbawieni przywileju wyłączności i dlatego musimy skorygować nasze widzenie. Bo cóż to jest globalizacja? To nowe widzenie, nowe pojmowanie świata. Ciągłe jesteśmy nieprzygotowani na to, że wyzwolone światy i cywilizacje zaczynają żyć własnym, niezależnym życiem. Czegoś chcieć, czegoś się domagać – dla nas brzmi to zarówno jak innowacja, jak i zagrożenie. Rozbudzonej ambicji emancypacyjnej i równościowej stoją na przeszkodzie co najmniej dwie potężne bariery. Pierwszą jest panująca powszechnie na naszej planecie zasada nierówności. Korzyści płynące z postępu dzielone są krącowo nierówno.

Powszechny rozwój świata generuje równocześnie powszechnie występujące nierówności. W wielu rodzinach mężczyzna ma na ogół lepiej niż kobieta czy dziecko. W każdym kraju widoczne są różnice regionalne między obszarami, na których żyje się lepiej i tymi, na których żyje się źle. Jedne kontynenty znajdują się w lepszej, inne w gorszej sytuacji. Wreszcie – 20 proc. populacji całego świata żyje dotąd, a 80 proc. w biedzie, z zawiedzionymi oczekiwaniami. Słowem: powszechnie panująca nierówność, a więc i niesprawiedliwość, stanowią endogenną cechę struktury współczesnego świata.

Mówiąc o tym wszystkim, jesteśmy ciągle w niewoli języka. Mówimy na przykład „człowiek”, nie różnicując, o jakiego człowieka chodzi, czy o dobrane sytuowanego mieszkańca USA, czy o głodomora z południowego Sudanu. A przecież każdy co innego wie, co innego czuje i myśli. Czy nasza rozmowa o przyszłym świecie wymagać więc będzie innego słownictwa? W każdym razie, wobec coraz bardziej widocznej różnorodności świata, coraz częściej odczuwamy ograniczenia tradycyjnego języka. Drugą barierą stanowi pogłębiająca się przepaść między centrum a peryferiami.

Tempem rozwoju świata rządzi zasada „the winner takes all” – „zwycięzca bierze wszystko”. A ponieważ to centrum bierze wszystko, ludzie zamieszkujący peryferia naszej planety (a takich jest zdecydowana większość), mają poczucie marginalizacji i porzucenia. Widzimy więc, jak w skali globalnej ścierają się dwie potężne siły. Jedna, to dynamika odrodzenia strukturalnego Trzeciego Świata, jego dumachowej i mentalnej dekolonizacji, jego ambicji ścierają się dwie potężne siły. Jedna, to dynamika odrodzenia strukturalnego Trzeciego Świata, jego dumachowej i mentalnej dekolonizacji, jego ambicji ścierają się dwie potężne siły. Jedna, to dynamika odrodzenia strukturalnego Trzeciego Świata, jego dumachowej i mentalnej dekolonizacji, jego ambicji ścierają się dwie potężne siły.

Do upadku systemu komunistycznego stosunki te znajdowały się na dalszym planie, przesunięte i zdominowane przez główny konflikt między Wschodem a Zachodem, między demokracją a totalitaryzmem. Lata 1989–1991 zmieniły wszystko, jednakże zakończenie konfliktu Wschód – Zachód zostało mylnie uznane za globalne i ostateczne zwycięstwo demokracji liberalnej. W latach 90. nastąpił „dziesięcioletni urlop od historii”, spędzany na rozrywkach, bogaceniu się i konsumeryzmie – zakończony gwałtownie 11 września.

Ubóstwo jest dramatem

Społeczeństwom zamożnym nie jest łatwo przyzwyczaić się do globalnego doświadczenia świata, bo słowo „globalny” oznacza nie tylko „zamożny”, ale także „ubogi”. Warto pamiętać, że dopiero od niedawna ubóstwo rozumiane jest w światowej myśli społecznej jako dramat rodziny człowieczej. Przedtem bieda była czymś naturalnym, fizycznym oczywistym i etycznie obojętnym – jak następstwo pór roku, podwiera albo trzęsienia ziemi. Dopiero przed półwieczem ubóstwo uznane zostało za problem, za kwe-

stę wstydlivą i bolesną, która obarcza nasze sumienia i wystawia na próbę naszą wrażliwość, domagając się działań, rozwiązań, a wreszcie całkowitej likwidacji.

Światowe ubóstwo stało się ostatnio kwestią jeszcze bardziej dramatyczną, bo w ostatnich dekadach XX wieku nastąpił dalszy zanik wszelkich mechanizmów służących wyrównywaniu nierówności. Wszędzie osłabła rola państwa opiekuńczego, straciły na znaczeniu związki zawodowe, partie polityczne nie mają już dawnych wpływów. Zanikły lub istnieją już tylko formalnie takie instytucje jak ruch niezangażowanych czy organizacje regionalne. Człowiek ubogi, należący do gorszego świata, nie ma dokąd pójść, nie ma gdzie szukać pomocy. Na brak perspektyw i nadziei może zareagować w dwojaki sposób. Olbrzymia większość ludzi biednych godzi się z losem, starając się jakoś sprostać wymogom życia.

Ale w ostatnim półwieczu wyrosło w Trzecim Świecie młode pokolenie klasy średniej – ambitne i harde – które nierówność odbiera jako wyzwanie, jako głęboką i poniżającą niesprawiedliwość, jako poniżenie, upokorzenie i hańbę. Człowiek ubogi a wrażliwy wstydi się swojej sytuacji. Jeżeli status biedaka łączy się w dodatku z dyskryminującym kolorem skóry i stygmatyzującą religią, taki człowiek wie, że jest dożywno skazany. W beznadziejnej desperacji i furii zmienia się w chodzącą bombę zegarową i to, kiedy ona wybuchnie (dosłownie lub metaforycznie), jest tylko kwestią czasu i okoliczności. Nie jest prawdą, że istnieje bezpośredni związek między biedą a przemocą, jakieś automatyczne i katalityczne przełożenie, jest natomiast faktem, że upokorzenie i krzywda, poczucie niesprawiedliwości i drugorzędności tworzą atmosferę, która rozwija i umacnia agresywną, odwetową zachowania, rodzi potrzebę rewindykacji i zemsty.

Tymczasem większość mediów zignorowała związek między biedą, wynikającym z niej upokorzeniem i naturalnym dążeniem do równości. Uznanie takiego związku wymagałoby bowiem refleksji nad światem i

próby jego zreformowania, a przecież chodzi o to, żeby w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

Co to jest „cywilizacja”?

Na wstępie wspomniałem, że niektórzy uznali 11 września za początek wojny cywilizacji. Pojęcie to, jak wiadomo, bierze się z napisanej przed kilku laty książki Samuela Huntingtona „Zderzenie cywilizacji”. Mimo że autor sam zrelatywizował słowo „zderzenie” (w dedykacji dla żony wziął je w cudzysłowy i dodał żartobliwie, żeby zderzenie to znosiła z uśmiechem), komentatorzy podążyli dokładnie w przeciwnym kierunku, zastrzegając termin i pisząc wprost o wojnie cywilizacji.

Cała sprawa jest jednak trudna i złożona. Huntington posłużył się kategorią metodologiczną Toynbeego, który w swym monumentalnym dziele uznał, że pisanie światowej historii narodów i państw jest fizycznie niemożliwe i merytorycznie wadliwe. Rozwiązanie widział w opisie dziejów świata podzielonych na historie poszczególnych cywilizacji. O ile jednak takie rozwiązanie było praktyczne i pomocne dla dziejów dawnych, o tyle jest ono zawadne w historii współczesnej, której siłami motorycznymi są państwowe i narodowe nacjonalizmy, które częściej rodzą konflikty i starcia wewnątrz cywilizacji niż na ich granicach.

Ostatnie wielkie wojny XX wieku rozegrały się wewnątrz dwóch różnych cywilizacji: bałkańsko-chrześcijańskiej i muzułmańskiej (Irak i Iran). Potwórmy więc, że siłą najbardziej zapalną, agresywną i niszczycielską okazuje się w naszej epoce zderzenie wszelkiego typu nacjonalizmów wewnątrz tych samych cywilizacji.

Problemem jest już zresztą sama definicja pojęcia „cywilizacja” – przedmiot niekończących się sporów terminologicznych. Słowo to inaczej rozumie Anglik, a zupełnie inaczej Niemiec. Którą z wielu definicji mamy się więc posługiwać w tym przypadku? I czy w ogóle można klasyfikować cywilizacje? Nie są one przecież tworem statycznym o cechach trwałych, danych raz na zawsze. Każda cywilizacja to proces złożony, wielopostaciowy, pełen sprzeczności i zagadek, a w dodatku ciągle się zmieniający. Jaka jest np. cywilizacja hinduizmu?

Myśląc o filozofii Gandhiego powiem: pokojowa. A gdy wspomnimy rok 1947, kiedy wyznawcy hinduizmu wymordowali kilka milionów swoich muzułmańskich pobratymców, powiem: wojownicza. Zresztą, jakie przyjąć kryteria definiowania? Religijne? Niemożliwe. Cywilizacja afrykańska obejmuje cztery wielkie religie. Terytorialne? Niemożliwe. Cywilizacja islamu rozmieszczona jest na wszystkich kontynentach. Cała sprawa komplikuje się jeszcze bardziej w naszej epoce. Islam ma dziś miliard trzysta milionów wyznawców, hinduizm – ponad miliard. W dodatku, dzięki rozwojowi komunikacji, cała rodzina ludzka pozostaje w nieustannym ruchu. Miliony osób przemieszczają się z miejsca na miejsce, a każdy przenosi cechy swojej cywilizacji, wchodząc jednocześnie w kontakt z przedstawicielami innej cywilizacji.

Zresztą, propagowanie dziś tezy o wojnie cywilizacji jest groźne, ponieważ zaostraża atmosferę międzynarodową i burzy ład wewnętrzny wielu państw wielokulturowych, takich jak Francja, Niemcy czy Stany Zjednoczone. Gdyby cywilizacje rzeczywiście pozostawały w stanie zderzenia, to 6 miliardów ludzi brałoby teraz udział w jakiejś monstrualnej i apolitycznej wojnie, a przecież nie takiego się nie dzieje. 99 proc. mieszkańców świata żyje w pokoju – lepiej lub gorzej, ale jednak w pokoju.

Czy zderzenie cywilizacji jest więc, jak twierdzi Huntington, nieuchronne? Wymienia on dwie potencjalnie groźne cywilizacje: Chiny i islam. To bardzo amerykański punkt widzenia. Chiny to rywal Ameryki w walce o dominację nad przyszłym centrum świata.

TRZECIE OKO

Jak przejść do historii

KRZYSZTOF KOWALSKI

Steve Fossett, amerykański miliarder, swoim żaglowym katamaranem „PlayStation” poprawił o blisko pół godziny czas rejsu przez kanał La Manche. Wcześniej przemierzył psim zaprzęgiem Arktykę, przepłynął wpław La Manche. Wspiął się na najwyższe szczyty, z wyjątkiem Everestu (mimo dwukrotnych prób), startował w 24-godzinny wyścigu na torze Le Mans, w rajdzie Paryż – Dakar. Swoim odrzutowcem obiecał kulę ziemską z rekordową średnią prędkością 951 km/godz. Usiłował okrążyć balonem glob bez lądowania. Pokonał na pokładzie „PlayStation” północny Atlantyk w niespełna 5 dni.

Latanie balonami, pływanie wyścigowymi jachtami i wpław 22 godziny ciurkiem, jedzenie psim zaprzęgiem przy 20 stopniach mrozu, wspinanie się na

ta – Pacyfikiem. Islam to posiadacz największych złóż ropy naftowej, bez której funkcjonowanie świata rozwiniętego jest po prostu niemożliwe. Ale na szczęście współczesna Europa kontynentalna wskazuje, że kontakty międzycywilizacyjne wcale nie muszą prowadzić do konfrontacji, ale przeciwnie, są źródłem owocnej i pozytywnej współpracy. Ciekawym przykładem jest również hispanojęzyczna strefa kulturowa grupująca ludzi różnych ras, krajów i regionów.

A więc dialog czy wojna cywilizacji? Taka alternatywa po prostu nie istnieje, gdyż równalaby się pytaniu, czy wybieramy życie czy śmierć. Na planecie tak naładowanej bronią masową zagłady wojna taka mogłaby doprowadzić do wyginięcia całego rodzaju ludzkiego. Dlatego tak żalnos są głosy (na szczęście nieliczne), które nawołują do zniszczenia islamu. Islam to miliard trzysta milionów ludzi. Zgładzić tę wielką liczbę istnień? Jak?

A może atak na wieże World Trade Center nie jest wcale dowodem konfliktu cywilizacji, ale przejawem działalności coraz groźniejszych, coraz bardziej potężnych, globalizowanych już sekt, które istnieją nie tylko w islamie? O ich siłę i znaczeniu przekonałem się naocześnie podczas ostatniej podróży do Azji i Ameryki Łacińskiej.

Słowo sekta jest mylące. Myślimy bowiem o małej i nieuchwytniej strukturze, gdy tymczasem sekty są potężne. Posiadają banki i udziały w liniach lotniczych, kontrolują handel narkotykami i bronią... Działają ponad granicami państw – naprawdę globalnie. Taką sektą jest również Al-Qaida. Jedyną ojczyzną jej członków jest wiara w Allaha – i nic więcej: żaden naród, żadna cywilizacja, żadna kultura. Istnieje nawet opinia, że jest to ruch, który działa wewnątrz samego islamu i którego celem jest zniszczenie rządzących światem muzułmańskim skorpumpowanych rządów. Zwolennicy tej tezy twierdzą, że atak na World Trade Center pozwolił wciągnąć Amerykę w ten wewnętrzny konflikt.

Mafia poza kontrolą

W każdym razie w świecie pojawiło się zupełnie nowe zjawisko: ideologie organizują się coraz częściej w sposób zdeintegrowany, pozbawiony hierarchii i struktur. Dzieje się tak dlatego, że niezwykle rozbudowane światła towarzysty rozluźnianie się jego struktur. W świecie bez autorytetów dokonują się bardzo niebezpieczne procesy. Powstają nowe struktury, nowe, amorficzne formy społeczne. Następuje prywatyzacja przemocy. Dawniej przemoc była monopolem państwa, które skupiało w swoich rękach armię, policję, służby specjalne. Kontrolując państwo, można więc było kontrolować przemoc. Dzisiaj mafie i tajne organizacje posiadają wielką liczbę prywatnych armii, których nie można poddać żadnej kontroli. Nowocześnie uzbrojone armie tradycyjne stoją bezzadnie i bezczynnie.

Wśród wszystkich tych niebezpieczeństw i lęków jednym rozwiązaniem staje się więc dialog, który prowadzi już zresztą cywilizację, czego najlepszym przykładem jest to, co dokonuje się w społeczeństwie amerykańskim. Współistnienie różnych cywilizacji przypomina mi współżycie zwierząt na równinach Afryki. Wielkie zwierzęta – słon, lew, hipopotam – nigdy nie atakują się nawzajem. Każde króluje na swoim terytorium, bacząc jednocześnie, żeby drugiemu nie wchodziło w drogę. Tak żyją od wielu tysięcy lat i jeżeli człowiek ich nie zniszczy, w spokoju będą tak żyły dalej.

Ryszard Kapuściński

Jest to tekst wykładu inauguracyjnego działalności Uniwersytetu Latającego „Znak”, wygłoszony 17 stycznia w auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

REKLAMA

POLSKIE NAGRODY FILMOWE

ORŁY 2002

NAGRODA PUBLICZNOŚCI

Wybierz najlepszy film spośród nominowanych i zadzwoń...

Co setna osoba otrzyma prezenty filmowe

Uwaga!

Do wygrania pięć podwójnych zaproszeń na ceremonię wręczenia Polskich Nagród Filmowych

ZADZWOŃ:

Requiem - 0 707 144 147

Angelus - 0 707 144 144

Weiser - 0 707 144 148

Boże Skrawki - 0 707 144 145

Cześć Tereska - 0 707 144 146

(koszt połączenia 2,12 zł)

RZECZPOSPOLITA

Gala

wp.pl

RMF FM

stopklatka.pl

ROBOTNICZY PRZYMUSOWI Relacja Anny Buczak

Cały Grabowiec był w Berlinie

28 lutego w Prenzlauer Berg Museum w Berlinie otwarto wystawę „Geraubte Zeit” (Zrabowany czas), poświęconą pracy przymusowej na terenie północno-wschodniego Berlina podczas II wojny światowej. Potrwa do połowy lipca.

Ekspozycja ma swoją „polską część”: zostaną na niej przedstawione m.in. biografie trojga polskich pracowników przymusowych: Henryka Domichowskiego – deportowanego z Poznania w czerwcu 1940 roku; Anny Buczak – deportowanej z Grabowca w marcu 1943 roku w ramach akcji pacyfikacyjnych na Zamojszczyźnie; oraz Janiny Pawlak – deportowanej z Warszawy w pierwszych dniach powstania warszawskiego.

Drukujemy dziś – pochodzącą z nagrania na taśmie magnetofonowej i z listu do organizatorów wystawy – relację pani Anny Buczak, obecnie 78-letniej rencistki mieszkającej w Grabowcu. Pani Buczak została zaproszona do Berlina na otwarcie wystawy.

Ekspozycja „Geraubte Zeit” otwiera cykl jedenastu wystaw muzealnych na temat pracy przymusowej w Berlinie.

Mieliśmy co robić i mieliśmy co jeść!

Ja robiłam przy bormaszynach. To była fabryka amunicji. Trzeba było kulkę podsząć, to borowało.

I był tam Niemiec, ten, co tą maszynę reperował – Riechter, i była biurowa.

I raz, biurowa czyta gazetę. A ten Riechter mówi:

Anna, powiedz, jak to było u was. Co, wy nie mieliście co robić? Bo biurowa czyta w gazecie, że wy nie mieliście co robić, to myśmy was wzięli do roboty.

A ja mówię: Panie, jak to nie mieliśmy co robić?! Mielśmy co robić i mieliśmy co jeść!

To on mnie pyta: No to jak żeście tu do Berlina przyjechali?

No, jak żeśmy tu przyjechali?

Wczesnym rankiem wojsko niemieckie obstawiało cały Grabowiec i do każdego domu przychodził żołnierz i dawał piętnaście minut. Co można było w takim strachu zabrać – tyle, co można w rękach unieść.

Kto był oporny, był na miejscu zabijany i rozciągany przy drodze dla postrachu.

Jak rodziców i mnie wysiedlili, brata zabili. Nie chciał jechać. Powiedział – jak ma jechać tam zginąć, to woli tutaj, tu niech go zabijają.

I tu go zabili.

Nas wywieziono wozami do Zamościa, a jego zabili.

Obóz przejściowy w Zamościu

Jak nas przewieziono do Zamościa, to nas rozdzielano. To była prawdziwa gehenna. Byliśmy za byle co katowani. Matki z dziećmi rozdzielano, zabierano dzieci, zostawiano z takimi starymi, jak ja teraz. A tamtych zabierano do Niemiec.

I mieliśmy takiego małego pieska, jeszcze w Grabowcu.

W obozie w Zamościu byliśmy miesiąc. A ojca mojego postawiono w takiej budce, bo trzeba było bramę otwierać i zamykać, jak samochody przyjeżdżały.

I ojciec raz patrzy, idzie po szosie taki mały piesek, i tak wchodzi. I pod bramą od ojca od razu skończył. I ojciec zaczął płakać, bo poznał tego swego psa.

A nadszedł akurat Lagerführer i mówi:

Ist das dein Hund? Tak, proszę pana. Odpędzić go! Ojciec mówi:



ARCHIWUM RODZINNE

ANNA BUCZAK NA KRÓTKO PRZED DEPORTACJĄ PRZED DOMEM RODZINNYM W GRABOWCU – 1942 R.

Jak ja go odpędzę? Pan widzi, jak on się łasi.

To strzelił do tego psa. Rańił w kark i w ogon, a trzecia kula go minęła. I wtedy, podszedł do ojca, zlapał za marynarkę i mówi:

Ty polska świnią, jak jego moja kula ominęła, to ciebie już nie ominie! On dostanie taki żołd, jak i ty. A jeżeli kogoś ugryzie, to ciebie moja kula już nie ominie!

Szanowni państwo, to było szczeni zło, mówię wam sprawiedliwie. Kto podchodził, to warczało, no to dostawało po ryju. Ale pomału się oswoiło.

A potem przyszedł doktor i wziął go do siebie do szpitaliku w obozie i uwiązał go.

Parę dni go nie było, słoneczko tak przygrzało, jak dziś. A on wygrzył kawałek deski i z tym łańcuchem przyszedł. Ale że barak był zamknięty, więc szarpa pod furtką przeszedł, a deska go nie puszczala. Ojciec podszedł, oswobodził go i przywołał do siebie.

Ale zaraz przyszedł ten doktor i wziął go z powrotem.

A jak nas wywieziono do Berlina, to ten pies nazad do Grabowca, do domu przyszedł.

Do roboty!

Piec taki był w baraku, niechęćcy go potrącał i oparzyłam sobie łokieć.

Oj, zaczęli się inni śmiać:

Już teraz do roboty nie pójdziesz!

Więc poszłam do sanitariuszki, rękę zawiązała i mówi:

Nie masz temperatury, do roboty musisz iść!

Ale mnie to bolało. To pytam się w baraku:

Co mam zrobić?

Bo ty głupia jesteś, przykóż sobie „Pedraju”!

To był taki proszek, co wysypywało się do kotłów w fabryce, jak się gilzy gotowały. Jak się go na rękę nasypało, momentalnie się płama robiła.

I ja przyłożyłam sobie ten proszek. To mi się gorzej zrobiło, a do roboty i tak mnie posłali.

No jak – smar?

A jeszcze jak?

No, jak pan chce mówić – oliwa.

Nein, nicht oliwa.

To ja mówię:

Co, smalec?

Ja, smalec! A ty wiesz, z czego to?

Ja mówię:

No z czego, smarówka jakaś.

Ja, ja, gute Metchen!

Dał mi do zrozumienia, że ten smar do smarowania maszyn z Oświęcimia był.

Co innego opowiadać, w książce przeczytać, ale co innego widzieć i być w tym kotle.

Niech Bóg przemieni i zachowa.

Cały Grabowiec był w Berlinie, mało kto został.

Nas przydzielili do lagru na Schönholz, przeważnie z rodzinami, tam gdzie ja byłam. Ale byli jeszcze przydzieleni na Prenzlauer Allee, Alexanderplatz, Janowitzbrücke. To do tych swoich znajomych można było pojechać. Z tym „P” to nie wolno było, trzeba było schować.

Pogrzeb

Byłam na pogrzebie jak zginęli z „naszej paczki” ludzie. Wielki nalot tam był i rodzicom dwie córki zabiło – Cybulskie, oni prywatnie mieszkali.

Do jednej chodził chłopak – Ukraińiec, on u bawera pracował. I on wystarał się o trumny i ubrania.

Jak przywieźli je na cmentarz, rów wykopali, to trumny jedną przy drugiej postawili.

Ale nam kazali odejść potem. Ciała powyciągali, a trumny z powrotem zabrali do tej kaplicy.

Bo skąd tyle trumien mogliby wziąć.

I tak, trumny tylko na pogrzeb. Bardzo ładnie wyglądały, białe sukienki miały, welony. Poubierane były bardzo ładnie.

Pożydowskie ubrania

Jak Żydów wywożono, to te różne rzeczy, szmaty przywożono nam do czyszczenia maszyn.

I które rzeczy były dobre, ładne, to Niemcy sobie też brali, bo to były bardzo dobre rzeczy.

A jak już ludzie w lagrach ubrania poniszczyli, to każdy szedł do biura, bo tak mówił komendant: Kto w potrzebie, temu trzeba dać.

A w ruskim lagrze, był ruski zastępca (komendanta) i druga (zastępczyni). To stawiała ta dziewczyna (rosyjska zastępczyni komendanta) tego, tamtego i tego. I pytała się:

Komu lepiej dać?

Czy temu?

Czy tamtemu?

Sądzicie sami! (kto bardziej potrzebuje)

Ale jak ja widzę, że ktoś jest boso zupełnie, czy nagi, gołym ciałem świeci, ja mam jeszcze coś trochę

lepszego, a jemu gorzej idzie, to trzeba jemu dać. No to temu dała. (...)

A jak wojska ruskie przysły, zrobiło się zbiegowsko i sowiecki żołnierz pyta się:

Co to za jeden? (ten rosyjski zastępca komendanta)

I biją go pięściami.

Rozstąpić się.

Strzelił w łeb.

Parę razy kózka wywinął. I koniec.

A ta druga, ta kobieta?

Ona nam dobrze robiła.

To jak przysli sowieccy żołnierze, to sami Ruscy ją na rękach nosili.

Tak w lagrze się działo.

Stara Niemka

A jak wracaliśmy z Berlina, to głodny człowiek był, szukał w tych domach opustoszałych. Mąki, kaszy, żeby coś ugotować.

Duży dom był. Idziemy po tych pokojach. A tam tylko jedna Niemka, staruszka, tylko jej garsteczka, szczuplusiśka, zmizerowana i koło niej dziecko w wózku.

Mama się pyta:

I ty jesteś tu sama?

A ona mówi:

Ich bin alleine, meine ganze Familie kaputt.

A mama mówi:

I ty sama tu zostałam?

Tak.

A dziecko czyje?

A ona mówi:

Ja nie wiem.

A tobie kto jeść daje?

Ruski żołnierz.

I dziecko jej zostawił. Termos, mleko ciepłe w termosie, smoczek, butelka i kupa szmat nadartych koło tej Niemki starej, i każe, żeby ona tego dziecka pilnowała, póki on nie znajdzie kogoś innego.

Ruski żołnierz.

Czemu mu zależało na tej starej Niemce? Mógł zastrzelić.

A jednak on miał w sobie serce ludzkie.

W domu

Moi kochani, tego momentu nie da się wysłowić.

Brudni, zawżeni, śmierzdzący, głodni, wynędzniali jedni drugim rzucali się w objęcia, nie patrząc na brud i wszawicę.

Jedni płakali z radości, inni swoich już nigdy zobaczyć nie mogli.

Pan Bóg zostawił w berlińskim piachu.

W rok po wojnie, w niecały rok – w lutym 1946, ślub wzięłam. I później to mnie już dobrze było, męża miałam dobrego, dzieci podorały. No to już teraz stara jestem, zdrowia nie mam.

Proszę państwa, wiele mogłabym jeszcze opisać, ale są to takie bolesne sprawy, że na samo wspomnienie serce płacze.

Przepraszam za złe pisanie, ręka drży i ślepa.

Zrozumieć Mackiewicza

[3] Nic podobnego. Mackiewicz łamał konwencje, jakie obowiązywały w powieści realistycznej, wprowadzając do niej żywioł reportażu i wykorzystując źródła archiwalne na niespotykaną dotąd skalę. Rzeczywistość – według niego – jest tak bogata, że fikcja literacka za nią nie nadąży i staje się w istocie wtrona wobec faktów. Dlatego „identyfikatorem” jego koncepcji literatury uczyniłem zdanie „jedynie prawda jest ciekawa”.

Mackiewicz, Gombrowicz, Miłosz

Nie kwestie artystyczne spowodowały jednak nagonkę na pisarza, któremu zarzucano niedostatek patriotyzmu czy wręcz antypolskość.

No i znalazł się w doskonałym towarzystwie! Mackiewicz należał przecież do tych pisarzy, którzy podjęli wielki spór z kulturą i mentalnością polską. To jest ten sam spór, który na początku wieku toczył z polską mentalnością Stanisław Brzozowski, a później Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz czy Andrzej Bobkowski. Wszyscy ci pisarze – choć każdy z innej perspektywy – walczili z infantylizacją myśli, a więc z infantylizacją kultury polskiej. Czesław Miłosz od wielu lat powtarza, że literaturze polskiej brakuje „razowego chleba”, że ucieka ona w „piankowe” eksperymenty omijając zasadnicze problemy życia. Gombrowicz, mimo że był pisarzem kompletnie innego typu, mówił dokładnie to samo. Obaj zarzucali Polakom, że są spowici kokonem tabu: społecznego, egzystencjalnego, obyczajowego, rodzinnego, erotycznego itd. To samo można powiedzieć o Mackiewiczu, który walczył z tabu dotyczącym historii najnowszej, to znaczy z pielęgnowaniem zasady, że są sprawy publiczne, o których „nie trzeba głośno mówić”.

Kto wie, czy Józefowi Mackiewiczowi bardziej niż artykuły zamieszczone w gadzinowym „Gońcu Codziennym” nie zaszkodził tekst znacznie wcześniejszy, z października 1939 r. Mysłę o publikacji w litewskiej gazecie „Lietuvos Žinios” zatytułowanej „My, Wilnianie...”. To od tamtej pory zaczęto oskarżać pisarza o antypolskość, której dowodem miała być kolaboracja z okupantem, a to litewskim, a to niemieckim.

Uznano, że deklarując radość z powodu opuszczenia Wilna przez bolszewików i wejścia wojsk litewskich, Mackiewicz skalał honor Polski i oddał zaczęto nazywać go „zdrajcą, zaprawiecem, renegatem”, no i do czekał się pierwsze „wyroku” – protestu około 200 oficerów polskich internowanych w Polsce. Tymczasem Mackiewicz propagował tzw. ideę krajową. Jedną z najoryginalniejszych, najnowocześniejszych idei, którą Wspólnota Europejska zalicza dziś do swojego Składu Zasad pod nazwą „Europa ojczyzn”.

„Kraj pochodzenia: Europa Wschodnia, narodowość: antykomunista”, mówił o sobie Mackiewicz. Na czym polegała idea krajowa? O co chodziło wileńskim krajowcom?

W tym przewrotnym określeniu narodowości jako antykomunizmu są skondensowane dwie idee Mackiewicza: antynacjonalizm i liberalizm. Obie stanowiły fundament koncepcji „krajowości”, która powstała na początku XX wieku i była głoszona na łamach „Przeglądu Wileńskiego”. Istota jej polegała na odrzuceniu każdego nacjonalizmu (nie tylko polskiego, ale wszystkich nacjonalizmów w Europie Wschodniej) jako zasady regulującej życie społeczne. Faktycznie chodziło o restytucję idei wielonarodowego Wielkiego Księstwa Litewskiego, którą Mackiewicz przeciwstawił mononarodowej, nacjonalistycznej idei Republiki Litewskiej. Podstawowe pytanie krajowców było następujące: w jaki sposób różne narody mogą żyć razem (na terenach tzw. Litwy historycznej)? Mackiewicz w idei krajowej za najważniejszą wartość uznał wspólnotę, której granice określa nie porządki administracyjne, lecz kraj wyraźnie odróżniony od państwa jako jednostki administracyjnej. Ludzi w tej koncepcji łączy idea wspólnego terytorium, „łęsknota do ojczyzny wspólnej” – jego kultura, geografia, krajozobraz, ekologia, a nie fakt posiadania ziemi czy władzy. To była Mackiewiczeowska idea „małej ojczyzny”, której istota powinna być Wilno. Według Mackiewicza tożsamość i świadomość ludzi kształtuje się w wyniku interakcji kulturowych pomiędzy różnymi narodami i dlatego „krajowość” była jego zdaniem ostatnią szansą na uniknięcie zniszczenia kraju przez konflikt nacjonalizmów. Krajowcy odrzucili nacjonalistyczny dyskurs dominacji. Dziś każdy, kto mówi o sobie „jestem środkowoeuropejszym”, przynajmniej rację idei krajowej, której sens odpowiada popularnej dziś na Zachodzie koncepcji wielokulturowości.

A zarzucało się Mackiewiczowi anachronizm historyczny i polityczny...

Ten zarzut oddał teraz w tekście Domosławskiego kpiącego z Mackiewicza, że na pytanie o kraj pochodzenia, odpowiedział „Europa Wschodnia”.

Zatraskiwanie drzew

Dlaczego Mackiewicz był tak nieprzejednanym antykomunistą?

Mackiewicz był liberałem. Komunizm w jego koncepcji oznaczał nie tylko zaprzeczenie wolności, ale jej unicestwienie. Niósł wszystkim narodom zniszczenie cywilizacji materialnej, duchowej, moralności, degenerację języka publicznego, wydobywał najgorsze cechy ludzkiej natury, deprawował charakter, opierał się na terrorze, przemocy psychicznej i kłamstwie podniesionym do pierwszej zasady życia publicznego. Komunizm był więc dla Mackiewicza złem w sensie etycznym, światopoglądowym, metafizycznym – nie tylko ustrojowym. Już w latach 20. Mackiewicz dostrzegł – i na tym też polega nowocześnieść jego myśli – że bolszewicy stworzyli nowy „dyskurs kolonialny”, oparty nie na zakazie, lecz na ideologicznym nakazie, dyskurs nie imperialny, lecz totalitarny. Był pisarzem, który „dowartościował” kraje Europy Wschodniej, a także Azji, przez wieki nieistniejące dla Zachodu. W dyskursie Zachodu pomiędzy Niemcami a Rosją nie było przecież miejsca dla Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Białych, często również dla Polaków. A Mackiewicz upominał się o te narody, odrzucał tezę, że ich przeznaczeniem jest życie w komunizmie, oczekiwał – używając metafory z trochę innego języka – buntu prowincji przeciw centrum. Czyż nie jest to pisarz nowoczesny, którego idee można by porównywać z koncepcjami tzw. orientalizmu przywracającymi należne miejsce narodom spoza politycznego centrum? Jeśli jednak większość czytelników w Polsce o twórczości Mackiewicza dowiadywać się będzie od lustratora z „Gazety Wyborczej”, to czego się dowiedzą?

Niewiele albo zgoła niczego.

Konsekwencją kilkudziesięcioletniego oczerniania pisarza są odruchy czytelników, które porównać można jedynie do skutków tresury psów Pawłowa. Nie tylko w Polsce, ale wśród Polonii na całym świecie. Na przykład publikacje przekładów Mackiewicza w USA były – jak wspominał Miłosz – blokowane przez Polaków. Dam przykład z własnego doświadczenia. W Szwecji, w Uppsali, ukazuje się pismo „Acta Sueco-Polonica” redagowane przez polskich historyków (Michała Brona Jr, Janusza Korka i Józefa Lewandowskiego). Kiedy zaproponowałem opublikowanie artykułu przedstawiającego sylwetkę ideową Józefa Mackiewicza – chodziło mi o to, żeby w wersji anglojęzycznej poznać czytelników na Zachodzie z myślą tego pisarza – odpowiedziano mi, że tekst taki byłby „nieodpowiedni dla cudzoziemców”. To szokujące, bo pismo jest finansowane przez wspaniałą instytucję, jaką jest Instytut Spraw Wielokulturowych zajmujący się m.in. obszarem Morza Bałtyckiego. Otóż ci polscy historycy zamiast propagować twórczość Mackiewicza jako pisarza, który wyłamywał się ze stereotypów dewocjonalnej, mononarodowej, egoistycznej



Wojciech Głogiewicz

Luna-Lager

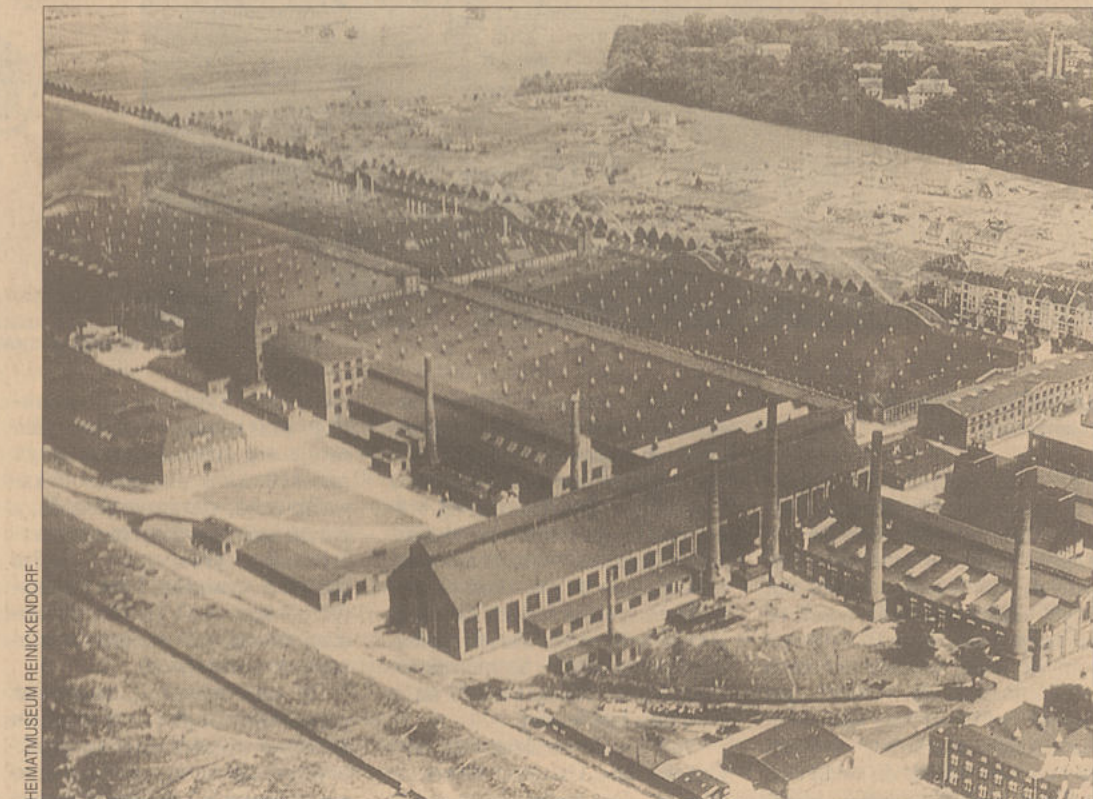
Luna-Lager był wielkim obozem mieszkalnym dla pracowników przymusowych, założonym na terenie byłego parku rozrywki „Traumland” („Kraina snów”) w Berlinie-Schönholz. Na terenie obozu mieszkało parę tysięcy robotników przymusowych różnych narodowości, zatrudnionych głównie w Deutsche Waffen und Munitionsfabrik. Obóz funkcjonował od czerwca 1940 roku do 24 kwietnia 1945 roku.

Nasza wiedza na temat Luna-Lager opiera się na relacjach (wywiady i listy) 17 polskich świadków wydarzeń – byłych mieszkańców obozu.

Luna-Lager nie jest właściwie nierzwykłym wyjątkiem – w Berlinie, w którym w czasie wojny pracowało około czterystu tysięcy pracowników przymusowych, istniało przynajmniej kilkadziesiąt obozów, przypominających swoją wielkością spore miasteczka. Z drugiej strony – ówczesne – poprzez relatywne całościową rekonstrukcję obozowego życia, miejsce to stało się czymś wyjątkowym.

Jako pierwsi na Schönholz dotarli młodzi Polacy z Poznania. Część z nich obiecano, że do Berlina jadą tylko na sześciotygodniowy kurs, po którym wrócą do pracy w Zakładach Cegielnianych – wówczas poznańskiej filii Deutsche Waffen und Munitionsfabrik. To oni właśnie mieszkali w obozie najdłużej – prawie pięć lat.

Później do obozu docierali stopniowo: Francuzi, Jugosłowianie, Rosjanie, Ukraińcy i włoscy jeńcy wojenni. Przez całą wojnę napływała też deportowana ludność z różnych stron Polski – często całymi rodzinami.



HEIMATMUSEUM REINICKENDORF

DEUTSCHE WAFEN UND MUNITIONSFABRIK W BERLINIE – FABRYKA, W KTÓREJ PRACOWAŁA ANNA BUCZAK. ZDJĘCIE Z 1938 ROKU.

stacji medycznej, bądź pełniąc funkcje administracyjne.

Luna-Lager został wyzwolony przez Armię Czerwoną wczesnym rankiem 24 kwietnia 1945 roku. Większej części personelu nie było już na terenie obozu. W akcie „natychmiastowej sprawiedliwości” żołnierze radzieccy rozstrzelali kilka osób. Byli to najprawdopodobniej dwaj Rosjanie i jeden Polak, kolaborujący z obozową administracją, oraz jeden niemiecki strażnik pilnujący kopców z kartoflami. Zostaje również przypadkowo ranny jeden z polskich pracowników przymusowych.

Niejasne są losy komendanta obozu Friedricha. Niektórzy ze świadków

wydarzeń mówią o jego ucieczce z obozu, na krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej, inni twierdzą, że po tym, jak uzyskał pozytywne świadectwo ze strony polskich mieszkańców Luna-Lager, został zwolniony przez żołnierzy radzieckich i z eskortą dwóch Polaków mógł opuścić obóz.

Zaraz potem, ze względu na bliskość linii frontu, rozpoczyna się chaotyczna ewakuacja obozu.

Pracownicy przymusowi z obozu na Schönholz są wolni.

Po wojnie Berlin-Schönholz, na obszarze którego znajdował się obóz, wszedł w skład radzieckiej strefy okupacyjnej. Późniejszy Mur Berliński

Zrozumieć Mackiewicza

[4] polskiej zaściankowości (bo wszędzie spotykamy się z takimi stereotypami) i który był patriotą krajów bałtyckich (nikt z takim podziwem nie pisał o Finach), zatraskują przed tym pisarzem „drzwi”. Cui bono?

To rzeczywiście paradoksalne, zważywszy, co Józef Mackiewicz pisał w swoich korespondencjach nadsyłanych z Łotwy do wileńskiego „Słowa” przed samym wybuchem wojny. To wówczas, ostrzegając przed hegemonią bolszewicką nad Morzem Bałtyckim, wskazał na widmo porozumienia sowieko-niemieckiego. Wiedział, co ono oznacza: „Podział wpływów, rozbiór terytoriów. Wtedy już koniec...”.

... a w twórczości Mackiewicza znaleźć można więcej tematów, które czynią go pisarzem wyjątkowo interesującym dla czytelników tego regionu – jak choćby nowoczesne, skandynawskie, rozumienie miejsca kultury chłopskiej w kulturze narodowej. Podany przeze mnie przykład dowodzi спустostenia, jakiego stereotypy narodowe i „centralizm patriotyczny” wpisane w ataki na Mackiewicza, dokonały w mentalności ludzi, którzy kulturę polską powinni propagować w całej jej różnorodności, a nie cenzurować. Jedyna nadzieja w sile literatury, bo przecież kiedy lustrator z „Gazety Wyborczej” próbuje powiedzieć coś sam od siebie o „Bulbinie z jednosielca”, to z jego pośpiesznego streszczenia przebija wyraźny cień sympatii do tej książki.

Los polski, los żydowski

Niestety, nie wykazuje autor „Gazety Wyborczej” nawet cienia tej sympatii, gdy cytuje Stefana Korbońskiego, który pisząc o publikacjach Mackiewicza w „Gońcu Codziennym”, popisał się następującym odkryciem: „Co do ludności żydowskiej, to jeden z artykułów kończył się zdaniem, że Żydą nawet powalonego na ziemię trzeba rozdeptać jak padalca”. I cóż z tego, że w przypisie redakcyjnym znajdujemy informację, że nie był to artykuł Mackiewicza. Po co było w takim razie w ogóle cytować Korbońskiego, wyjątkowo nierzetelnego w ocenie autora „Drogi donikąd”? Rzecz jest tym bardziej przykra, że Józefowi Mackiewiczowi, co akcentował pan w swoim „Płazniku z Wilna”, antysemityzm był obcy czy nawet wstrętny.

Przez ręce Korbońskiego musiało przechodzić zatwierdzenie wyroku na Mackiewicza. W 1964 r. Bohdan Śalać (Andrzej Pomian) wybitny działacz emigracji polskiej, był członek BIP KG Armii Krajowej przygotował broszurę „Sprawa Józefa Mackiewicza”, z której odtąd czerpać będą „argumenty” autorzy wszystkich ataków na autora „Zwycięstwa prowokacji”. Jedno ze zdań Józefa Mackiewicza, które wywołało furję i Śalać, i jego ludzi, z którymi był związany, brzmiało: „była przepaść między Iosem Polaków i Iosem Żydów”. Na podstawie tego zdania dowodzone, że Mackiewicz deprecjonuje martyrologię narodu polskiego. Notabene w powieściach „Nie trzeba głośno mówić” i „Karierowicz” Mackiewicz zamieścił epizody świadczące o antysemityzmie, jaki ujawnił się podczas wojny i okupacji w zachowaniach Polaków. Zresztą już w artykule „Przytaczam tylko fakty” z 1935 r., przedrukowanym w „Bulbinie”, ostrzegał przed „rozszereżaniem się fali antysemityzmu” w Polsce.

Z powieści Mackiewicza wylania się wizerunek ich autora, człowieka – jak się wydaje – bez złudzeń, sceptycznego wobec poglądów i poczynań swoich rodaków.

Na pewno nie krzepi serc, lecz zmusza do myślenia. Lektura Józefa Mackiewicza jest potrzebna każdemu, kto chciałby zrozumieć, jak skomplikowane jest doświadczenie historyczne narodów Europy Wschodniej. Historia tego regionu – powiada Mackiewicz – została naznaczona przez rewolucję bolszewicką i nazizm, a komunizm, który dla Zachodu był rzeczywistością ze słów, dla Wschodu był rzeczywistością konkretną: nędzą, zbrodni, kłamstw, upodlenia ludzi. Dlatego pisarz podkreślał fakt, który wciąż jeszcze jest niedostatecznie spopularyzowany w świecie, że nasza część Europy doświadczyła w czasie II wojny światowej dwóch okupacji, a nie jednej. Oraz, co dla większości ludzi na Zachodzie jest nadal niepojęte, że istniała taka część Europy, dla której wojna zaczęła się od okupacji sowieckiej, a nie od ataku Niemiec. Jak ważny jest to temat, świadczy, że poruszył go Miłosz w swoim przemówieniu noblowskim w 1980 r.

Nie było dwóch

I dopiero w kontekście tego faktu, zrozumiała się staję reakcja Mackiewicza na zajęcie Wilna przez wojska litewskie. Wcześniej przecież musieli opuścić miasto czerwonoarmiści... Powiedzieć jednak, że autor „Drogi donikąd” był tylko pisarzem historycznym, znaczyłoby w dużej mierze zubożyć jego twórczość.

Mackiewicz po prostu miał nadzieję, że po 17 września 1939 r. wilnianie zrozumieją, iż sowiecyzm jest dla nich większym zagrożeniem niż litewski nacjonalizm. Natomiast głównym przeciwnikiem, przeciw któremu zwrócona była myśl Mackiewicza, jest dyskurs o historii, który nazwałbym dyskursem konieczności i fatalizmu. Znamy go jako konsekwencję tzw. materializmu historycznego. Mackiewicz kategorycznie odrzucał wszelkie formy traktowania historii w takich kategoriach. Patrzył na historię jako na pole gry wolnych sił i wynik działań ludzi, a nie jakichś praw dziejowych. Zastanawiał się też nad tym, jak mogłaby się potoczyć historia, gdyby inne były decyzje i działania konkretnych ludzi. Jest to jeden z najważniejszych projektów wpisanych w jego twórczość. Istnieje na to angielskie określenie „re-writing history”, obejmujące rewizjonistyczny nurt we współczesnej historiografii. Fundamentem myślowym prozy Mackiewicza jest niezgoda na status quo, szukanie czegoś, co można nazwać historią alternatywną.

Twórczość ta nie przebiła się jednak do szerokich kręgów czytelników.

Dopominam się dla niej jedynie o równorzędne miejsce w kanonie literatury polskiej minionego stulecia. Autorowi „Drogi donikąd” tego miejsca w Polsce odmówiono. A ilustracja Mackiewicza dotyczy przecież tego okresu w jego życiu, o którym napisał wspomnienia o mordach żołnierzy polskich w Katyniu i Żydów w Ponorach. Dwa teksty, o których Czesław Miłosz powiedział, że dopóki istnieć będzie literatura polska, dopóty mają w niej nieśmiertelne miejsce.

Autor artykułu w „Gazecie Wyborczej” konstatuje: był Józef Mackiewicz – niezły prozaik, i Józef Mackiewicz – publicysta niespełna rozumu, który bez pojęcia atakował wszystko i wszystkich: Armie Krajową, księdza prymasa, „Solidarność”... No, wariat.

Tak jakby „Gazeta Wyborcza” nie krytykowała Armii Krajowej, księdza prymasa czy „Solidarność”! Ale powiedzmy wyraźnie: nie było dwóch Józefów Mackiewiczów. Poglądy tego pisarza są wyjątkowo spójne, jednak trzeba je rozpatrywać w ramach jego myśli jako systemu, który tworzył od lat 20. Mackiewiczowi zarzuca się na przykład, że nie przyjął w ewolucję komunizmu i uważał, że można obalić go tylko siłą. Ale czy tak dziś poważnie rozważa ewolucję nazizmu i III Rzeszy? Mackiewicz całe życie patrzył na bolszewików tak, jak po 11 września ubiegłego roku Amerykanie spojrzeli na terrorystów. Gdyby żył, to dla niego bin Laden byłby Leninem czy Stalinem początki XXI stulecia. I nie wierzyłby w pokojową ewolucję al-Qaidy...

Rozmawiał Krzysztof Masłowski

Trzeba pomóc młodym – to nasz obowiązek

Nowa szkoła polska

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Artyści, którzy w wolnej Polsce cieszą się pełnią sił, mają pewien obowiązek. To obowiązek tworzenia arcydzieł. W kinie znaczy to imperatyw tworzenia wielkich filmów. Ten obowiązek mają nie tylko artyści. Pracą na rzecz sztuki muszą zająć się również politycy, a także producenci. Inaczej zostanie po nich proch. Żyli w wielkich czasach, a nie zauważyli. Widzieli wiele, a nie dali świadectwa. Zmarowali talenty. Roztrwonili wpływ na rzeczy doraźne.

W ostatniej dekadzie powstały warunki historyczne do stworzenia nowej szkoły polskiej. Przypominają przełom lat 50. i 60., kiedy wymagał rewizji mit bohaterki, po stracie wolności wskutek drugiej wojny. Ten szok zniewolenia, mimo wielkich ofiar poniesionych w walce, potrzebował katharsis, czy to na romantyczną nutę Andrzeja Wajdy, czy ironiczną Andrzeja Munka, czy obsesji wypalenia wojną Tadeusza Konwickiego. Szkoła polska stworzyła nie tylko wielkie kino. Urządziła nie tylko psychoterapię publiczności udręczonej klęską. Była również jedną z najlepszych rzeczy, jakie wyszły stąd po II wojnie i pracowały na prestiż kraju w świecie.

Zadanie dla młodych

Podobnie dzisiaj podwójny szok niepodległości i kapitalizmu domaga się katharsis. Trzeba przeprowadzić rewizję wielu przekonań, które stanowią podstawę polskiej świadomości. Jak wtedy, tak obecnie rewizji mogą dokonać twórcy młodzi. Ten postulat wywołuje zaniepokojenie wśród starszych artystów. Niepotrzebnie. Obok rewizji paradygmatu, zawsze

będzie miejsce dla tradycyjnych ujęć. Tylko część publiczności zechce przyjąć nowy kanon. Reszta wybierze poczucie bezpieczeństwa w tym, co dobrze znane. Ciągłe będzie to szuka wartościowa, jak „Pan Tadeusz” Wajdy i, być może, „Zemsta”.

Jeśli jednak zadaniem jest zmiana kanonu, wtedy fakty są nieublagane. Pisząc „Eroikę” Beethoven odszedł od klasycznej symfonii w duchu Haydna i Mozarta tworząc paradygmat romantyczny. Miał wtedy 32 lata. Picasso współtworzył kubizm około trzydziestki. James Joyce zakończył wieloletnią pracę nad „Ulysesem” przed czterdziestką. Ta sama reguła panuje w kinie. Bunt przeciw tradycji wynika w tym wieku z rytmu życia artysty. Najpierw musi opanować zastane środki wyrazu, zanim je odrzuci, by ująć nowego ducha czasu w nowy sposób.

Mickiewicz miał 34 lata, kiedy stworzył profetyczną odmianę romantyzmu, której dał wyraz w III części „Dziadów”. Ten paradygmat działał aż do powstania „Solidarności”, co ujął Tadeusz Konwicki w filmie „Lawa”, na podstawie dramatu wieszcza. Ale dziś już nie ma sensu wadzić się z Bogiem o niepodległość kraju, ani w cierpieniach za miliony szukać pociechy z powodu bezsilności. Podobnie z „Weselem”. Dokonana przez Wajdę filmowa adaptacja dramatu Wyspiańskiego stanowiła zachwycającą syntezę formy filmowej i teatralnej, pełną energii, z wstrząsającym finałem. Było to arcydzieło na 30-lecie PRL, jakże trafne! Wtedy oskarżało partyjną dyktaturę. Ale dziś „Wesele” staje się trucizną, ułatwiając godzenie z tzw. polskimi przywarami. Pokazuje, że elita Polaków maruje się w marzeniach, daremnych zrywach, pijaństwie – naj-

piękniej, jak potrafi. Jako sposób na życie w wolnym kraju jest to nie do przyjęcia.

Świat znów nie przedstawiony

Co więc robić? Dzisiejsza rzeczywistość jest ciągle niejasna. Trudno ją analizować, czy pisać manifesty, jak „Świat nie przedstawiony” z początku lat 70. minionego wieku. Książka Kornhausera i Zagajewskiego pomogła wykluczyć się tzw. kinu moralnego niepokoju. Ówczesny postulat paradygmatu opisu świata wypłynął z żalu za niespełnionymi obietnicami socjalizmu, wbiłymi ludziami do głowy od trzydziestu lat. Były to: prawda, wolność, godność prostego człowieka, dobrobyt, służebność władzy wobec obywateli, brak uprzedzeń rasowych. Ideologia socjalistyczna dostarczyła gotowych narzędzi do rozprawy z realnym socjalizmem. Dziś takich narzędzi jeszcze nie ma. Socjalizm został na wpół odrzucony, a kapitalizm przyjęty po łowicznie. Mało kto rozumie, na czym polega demokracja, liberalizm, wolny rynek.

Aby dzisiaj powstał podobny ruch na rzecz prawdy w sztuce, należałoby stworzyć projekt ideologiczny wolnej Polski kapitalistycznej, rozpropagować choćby przez telewizję publiczną i tą miarą oceniać rzeczywistość. Niestety, Telewizja Polska woli uprawiać doraźną propagandę koterii politycznej, do której należą jej prezesi. Natomiast inteligenci boją się rynku. Przywykli, że są na utrzymaniu państwa, a jeszcze nie wiedzą, jak się uzasadnić w nowych warunkach. Przejęli bowiem etos szlachecki do ujęcia w dwóch słowach – gospodarcza bezradność. Podobnie jak drobna szlachta

„trzymała się pańskiej klamki”, tak inteligencja trzyma się państwowych posad. Dzisiejsze upartyjnienie państwa i rozrost biurokracji to żerowanie inteligentnej klasy urzędniczej na klasie produkcyjnej.

Nie ma więc projektu ideologicznego nowej Polski. Pozostaje rzetelna obserwacja na podstawie intuicyjnego pojmowania prawdy i dobra. W tej dziedzinie również tradycyjna religia przestaje być dla wielu ludzi solidną podstawą oceny świata.

Paradygmat romantyczny nadal polityce wymiar religijny. Dziś możemy zwrócić się do religii z powodów wyłącznie duchowych. Wymaga to rewizji stosunku do Kościoła. Już nie jest obłożoną twierdzą narodu polskiego. Stanowi tylko propozycję, jak Krzysztof Kieślowski do spółki ze scenarzystą Krzysztofem Piesiewiczem. Niestety, dokonali oni daleko posuniętej trywializacji postawy religijnej. Myślę, że trafnie wyczuł potrzebę, ale jej nie sprostał.

XXI wiek będzie wiekiem religii lub nie będzie go wcale, jak powiedział André Malraux. Jednak tradycyjna wiara nie ocali świata. Elity Zachodu faktycznie ją odrzuciły, a one decydują o kształcie przyszłości. Trzeba szukać nowych dróg „zbawienia” dostępnych wrażliwości człowieka współczesnego. Inaczej nie wypełni się pustki duchowej, jaką kapitalizm wprowadza w nową Polskę.

Skąd pieniądze i talenty

Nie ma kultury bez pieniędzy, zwłaszcza kinematografii. W wypadku kina recepta jest prosta. Trzeba przyjąć francuski

model. Wprowadzić na rzecz polskich filmów podatek od dystrybucji filmów zagranicznych, ulgi podatkowe za popieranie rodzimej twórczości, obowiązek udziału prywatnych telewizji w realizacjach filmowych oraz nadzór jakości produkcji. Wywoła to opór telewizji i dystrybutorów, który trzeba pokonać w interesie kultury narodowej, w interesie państwa.

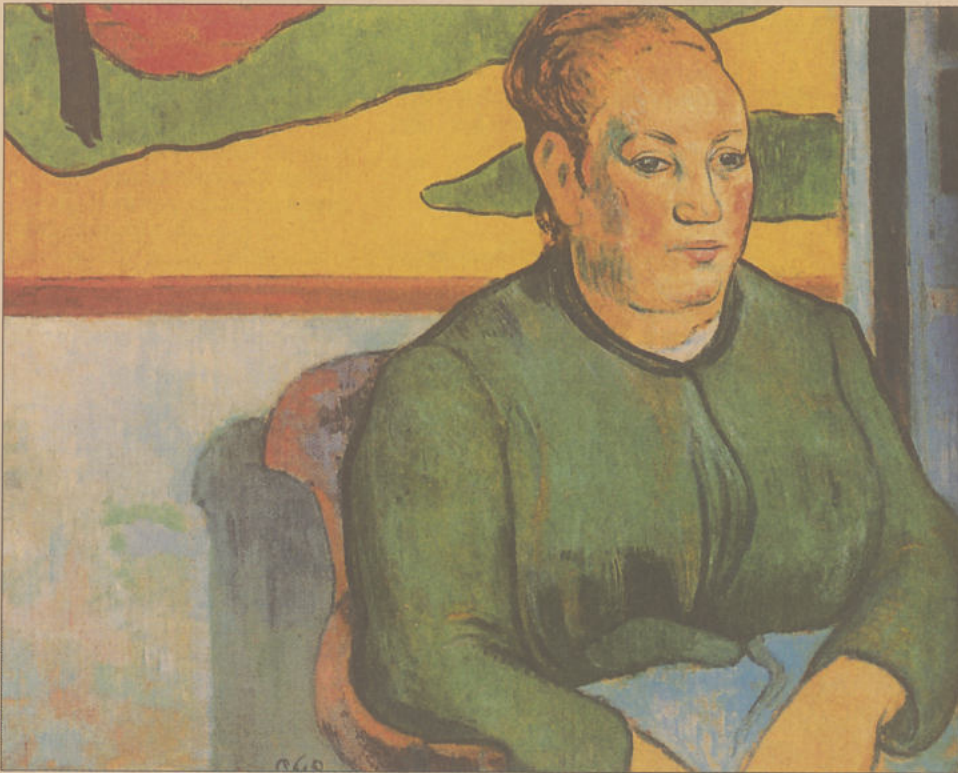
Pieniądze są, wystarczą po nie sięgnąć, a talenty? Trzeba zainwestować w dziesięciu artystów, żeby wyłoniło się trzech interesujących i jeden wybitny. W ostatnim czasie zadebiutowało kilku zdolnych reżyserów młodego pokolenia. Nie wiadomo, czy właśnie oni stworzą nową szkołę polską, lecz dajmy im szansę. Łukasz Barczyk, Mariusz Front, Małgorzata Szumowska, Artur Urbanowski nakręcili pierwsze fabuły. Pojawia się też inni, ze szkół w Łodzi i Katowicach. Za dwa lata ruszy fala młodzi ze szkół Wajdy – Marczewskiego w Warszawie. Z tak szerokiej bazy rekrutacji na pewno wyłoni się kilku wybitnych artystów.

Sytuacja młodych filmowców jest dzisiaj rozpaczliwa. Skrajnym przykładem jest Ksawery Żuławski. Własnym sumptem i chodząc po prośbie wśród przyjaciół, kręci debiut o buncie młodzieży w Warszawie przeciwko zmaterializowanemu światu. Zmontował wstępnie 46 minut materiału, szuka inwestora na dokończenie dzieła. Czy można wątpić, że kocha kino i chce nam coś ważnego powiedzieć?

Młodzi filmowcy nie powinni tracić energii na rzeczy uboczne. Mają wykonać wielkie zadanie: zmieniając paradygmat naszej kultury stworzyć – nową szkołę polską. Ale trzeba im pomóc. To nasz obowiązek.

WYSTAWA Vincent van Gogh i Paul Gauguin

Zaczęło się w Arles



KATALOG WYSTAWY



PORTRETY TEJ SAMEJ KOBIETY „MADAME ROULIN” AUTORSTWA PAULA GAUGUINA I VINCENTA VAN GOGHA NAMALOWANE W 1888 ROKU

KAZIMIERZ SOBOLEWSKI
Z AMSTERDAMU

To są najwspanialsze kwiaty, jakie w życiu widziałem – wykrzyknął Paul Gauguin patrząc na obrazy słoneczników, którymi jego przyjaciel, Vincent van Gogh, udekorował pokój gościnny na jego przyjazd do Arles. O swoim pomysle takiej właśnie dekoracji „małymi obrazkami słoneczników” – jak czasem van Gogh nazywał te najbardziej słoneczne kwiaty – zwierzył się wcześniej w liście do swego brata Theo: „Mam nadzieję, że zamieszkał z Gauguinem w naszej pracowni. Chęć ją ozdobić. Tylko wielkie słoneczniki!”.

W lutym 1888 roku Vincent van Gogh przyjeżdża do Arles na południu Francji w poszukiwaniu koloru. „Malarz przyszłości będzie kolorystą” – pisze w jednym z listów do brata. Marzy, aby stworzyć wspólnotę malarzy, poszukujących tematów dalekich od zgiełku Paryża. Arles wydawało się być miejscem doskonałym do realizacji tych planów: słońce południa, jaskrawość przyrody, wspaniały błękit nieba, eksplozja kolorów i zapachów.

Przyroda nie wypełniła jednak malarzową samotności. Do swego żółtego domu, znanego potem z

wielu jego obrazów, Vincent zaprasza Paula Gauguina, z którym chciał dyskutować o sztuce i o życiu. Malarze poznali się dwa lata wcześniej dzięki Theo. Obaj bracia van Gogh podziwiali malarstwo Gauguina. Vincent odkrył w nim bratnią duszę, choć pochodzili z zupełnie innych światów, jakimi były wtedy Paryż i holenderska Brabancja. Są niemal rówieśnikami: Vincent ma 35 lat, a Paul dwa lata więcej.

Pod koniec października tego samego roku Gauguin zjawia się w Arles. Jest zachwycony urodą okolicznych pejzaży i ludzi, choć ma za sobą egzotyczne podróże na Martynikę i do Panamy. Obaj artyści dużo malują, a wolne chwile spędzają na dyskusjach lub części w nieodległym domu publicznym. Sporą piją. Głównie modny wówczas zielony absynt, likier ziołowy wywołujący zaburzenia psychiczne. To duchowe braterstwo nie trwa jednak długo. Gauguin jest apodyktyczny, van Gogh nieznównawozony. Musi więc dojść do eksplozji. Jest wieczór 23 grudnia 1888 roku, przeddzień Wigilii. Malarze wypili już po kilka kieliszków zielonej trucizny. Vincent źle znosi alkohol, jest podrażniony. Wystarcza jedno złe słowo Paula i wpa-

da w furję. Rzuca się na niedawno przyjaciela z brzytwą. Ten ratuje się ucieczką. Van Gogh nie rozświeczonego obcina sobie kawałek ucha, starannie je myje, a potem wręcza w kopercie zaprzyjanej prostytutce, która mdleje z wrażeń. I tak dramatycznie kończy się jeden z najbardziej znaczących okresów w malarstwie europejskim.

Te dwa wspólne spędzone przez van Gogha i Gauguina miesiące w Arles stały się punktem wyjścia do wspaniałej wystawy, otwartej 9 lutego w Amsterdamie, którą od razu uznano za jedno z najważniejszych wydań kulturalnych najbliższych miesięcy (wystawa będzie czynna do 2 czerwca) w Europie. Na konferencję prasową, która poprzedziła jej otwarcie, przybyło kilkuset dziennikarzy z całego świata. Może również i z tego powodu, że wystawa ta prezentowana była wcześniej – od września minionego roku do stycznia roku bieżącego – w Chicago, gdzie odniosła wielki sukces i obejrzało ją 700 tys. osób.

Scenariusz wystawy w amsterdamskim Muzeum van Gogha jest jak gdyby dialogiem obu malarzy, w którym raz to są zgodzie ze sobą, raz to sobie przeciwni. Ca-

ła paleta płócien, kolorów, tematów. „Chrystus w ogrodzie oliwnym” Gauguina (z nim samym w postaci Chrystusa) to odpowiedź na wcześniejszą „Pietę” van Gogha. Tak jak Madame Ginoux z „Cafe de la Gare in Arles” Vincenta odpowiada na wcześniejsze rysunki Gauguina jej poświęcone. Niezwykły dialog artystyczny.

Obaj malarze zostali pokazani przez swoje prace – w tym większość bardzo znanych, z trzema wersjami „Słoneczników”, które po raz pierwszy w taki sposób wystawiono na widok publiczny – jako artyści „outsiderzy” mający za sobą wcześniejsze, dalekie od malarstwa doświadczenia zawodowe, jako twórcy martwych natur i symbolicznych autoportretów oraz jako poszukiwacze dalekich od Paryża tematów.

Jednocześnie z wystawy wyciąć można prawdziwie spontaniczne malarstwo van Gogha i przemysłowe, „racjonalne” Gauguina, którego własne „Słoneczniki”, namalowane jedenaście lat po śmierci Vincenta, nie są już tak „metafizyczne” jak jego. Malarstwo zastępowało w Goghowi religię. „Mogę sobie poradzić bez Pana Boga, ale nie bez Sily Twórczej” – pisał do brata. „Jestem wielkim artystą i wiem o tym.

Moje centrum artystyczne znajduje się w mózgu” – zwierza się z kolei mniej skromnie Paul Gauguin swoim przyjaciółcom.

Na wystawie w Amsterdamie, zatytułowanej „Van Gogh and Paul Gauguin. The Studio of the South”, pokazano ponad 100 obrazów, rysunków i rzeźb pochodzących z muzeów holenderskich, angielskich, niemieckich, japońskich i amerykańskich, a także kolekcji prywatnych. Nieczęsto udaje się takie międzynarodowe przedsięwzięcie wystawiennicze. Zarówno organizacyjne, jak i, jeszcze może bardziej, finansowo. Ale Amsterdam ma swoją siłę przyciągania, której trudno się oprzeć. Wystawa w Muzeum van Gogha będzie więc niewątpliwie hitem sezonu.

Van Gogh Museum, Amsterdam,
Muzeuplein; adres internetowy:
www.vangogmuseum.nl

Wystawa otwarta do 2 czerwca w godz. od 9.00 do 21.00 (poniedziałki i czwartki do godz. 18.00). Ceny biletów: dorośli 13 euro, młodzież do 17 roku życia 8 euro, dzieci poniżej 12 lat – wstęp wolny. Więcej informacji udziela Niderlandzkie Biuro ds. Turystyki w Gliwicach, tel. (0-32) 279-21-99.